Rok II. Kraków, dnia 5 Grudnia 1883 r. Nr. 22 i 23.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 ztr., półrocznie 3 ztr., kwartalnie 1 ztr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 ztr. 50 ct., półrocznie 3 ztr. 25 ct., kwartalnie 1 ztr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

Z białorusińskich piosnek

Józefa Kuczyńskiego (Korwina).

Cygance mojej poświęcam.

Z cygańskich szatr
Moja dziewczyna,
Chyża jak wiatr,
Gibka jak trzcina,
Kochanków śniadych
Wrzące wyznania
Na nocy bladych
Sielskie gruchania
Zmieniła ze mną; —
Więc byłem gotów
W każdą noc ciemną
Iść do namiotów...
Płochliwość miała
Wietrznicy młodej, —
Uczucia brała
Od gry przyrody, —

W tem jednem — wierzę —
Nie była płocha,
Mówiąc mi szczerze
Codzień — że kocha...
Kiedy szumiała
Puszcza nad rzeką, —
Jej myśl się rwała
W przestrzeń daleko...
A kiedy była
Cisza mdlejąca,
To się płoniła
Nieśmiała, drżąca, —
A gdy zdradziecki
Grom wstrząsł etery —
Ogień od greckiej
Brała hetery...

A gdy zapłacze
Przyroda cała, —
Piosnki wieśniacze
Do snu śpiewała...

I.

Moja biała poduszeczka krasno lamowana,
A ja sama młodziuteczka, niby krew rumiana...
Kogo lubię, kogo lubię — tego pocałuję —
Temu moją poduszeczkę białą podaruję...

Wczesnym rankiem biała rosa bose nóżki myje,
A ja sobie w ogródeczku wonny wianek wiję, —
A z za płotu czyjeś oko ślad w ślad za mną kroczy,
Choć wstyd wspomnieć... nie wytrzymam!—takie ładne oczy!..

Muszki w skwarze brzęczą sennie, jak gdyby w omdleniu,
A ja sobie odpoczywam z sierpem w wierzby cieniu,
A sianożęć z wiewem wiatru znany śpiew mi niesie, —
Że aż słuchać... że aż samej głośno śpiewać chce się...

Cichy wieczór, przed gospodą skrzypce: znak wesela, —
I ja chciałabym poskakać... bo jutro niedziela. —
I jak na to... bieży... chwyta — i już w tańcu kręci...
Ach, znam oczy te z za płotu... głos ten z sianożęci...

Moja biała poduszeczko!.. czysta i nietknięta, —
Już nie będą cię widziały rówieśne dziewczęta. —
Wiem ja, wiem ja — kogo lubię, kogo pocałuję, —
Komu poduszeczkę moją z sercem podaruję...

KRONIKA.

Od dwóch tygodni ja i redaktor Przeglądu nie śmiemy się pokazywać na ulicy. Powodem tego wstyd i bojaźń: wstyd przed prenumeratorami za nieustanne spóźnianie się Przeglądu, bojaźń przed objawami ich niezadowolenia.

Polecono niżej podznaczonemu, aby wymyślił przyczyny niebywałe, jakie wpływają na tę nieregularność Przeglądową, pozwolono mu całą winę przypisać «intrydze arystokracji i duchowieństwa», a zwłaszcza OO. Jezuitów, lub też donieść, iż drukarnia się spaliła, expedytor został srodze zamordowany, żona jednego ze współpracowników powiła trojaczki, najstarszy syn głównego redaktora poległ w wyprawie Hicksa-paszy, a nareszcie, iż liczba prenumeratorów Przeglądu tak się zwiększyła, że nie mogąc wszystkim dostarczyć numerów, zamówiliśmy trzy nowe maszyny pospieszne i motor gazowy i woleliśmy tymczasem wstrzymać druk Przeglądu nie chcąc wytwarzać nowej kasty uprzywilejowanych.

Kronikarz jednak nigdy was szanowni czytelnicy nie oszukiwał i ztąd ze wstrętem odrzucił myśl używania blagi dla zatajenia rzeczywistej prawdy. Woli więc otwarcie wyliczyć prawdziwe przyczyny opóźnienia się Przeglądu, a te są: a) zajmowanie się naprzód redaktora zjazdem literackim a potem warszawiankami, b) spóźnienie się fabryki papieru, która zamiast dostarczyć zamówioną jego ilość na dzień 20 z. m. dopiero w dniu 5 t. m. stawiła się na słowie. Ponieważ zaś czcionki używane do Przeglądu stały złożone w tak zwanych «formach» oczekując na papier przeznaczony do odbitki ze «sprawozdań zjazdu», nie mogły być przeto na nowo użytemi do składania Przeglądu, a w skutek tego nastąpiło opóźnienie się ostatnich numerów. Prawdę słów moich mogę dowieść świadkami i przysięgą choćby nawet na najpiękniejsze oczy najpiękniejszej z czytelniczek «Przeglądu».

Śmiało na to wszystko mogą odpowiedzieć prenumeratorzy (powagi nie-prenumeratorow nie uznaję): «cóż nas to obchodzi, łaskawy panie, że się komuś chciało jadać obiady z literatami, włóczyć się po Warszawie, lub że fabryka papieru spóźniła się z ekspedycją ryz zamówionych. Płacimy regularnie i chcemy pismo regularnie otrzymywać. Zamiast umizgać się do warszawianek powinien redaktor zajmować się pismem, a wydawca niech z taką fabryką papieru wejdzie w stosunki, która się nie spóźnia. Tłumaczenia się nie przyjmujemy — i basta.»

Najzupełniejsza racja, wymyślanie całkiem uzasadnione. Przyznam się, że gdybym ja był prenumeratorem użyłbym jeszcze ostrzejszych wyrazów, a sprawiłoby mi to tem większą przyjemność, że wymyślałbym dziennikarzom, ktorzy jak wiadomo prawo wymyślania chcą specjalnie dla siebie zachować. Przyznając jednak słuszność oburzeniu prenumeratorów, odważę się ich zapytać: co stracili na tem, że Przegląd nieregularnie wychodził? i czy mi nie przyznają, iż i opóźnienie ma swoje dobre strony?

II.

Po przez tę rzeczkę, po przez to błoto, —
Podaj rączynę moje ty złoto, —
Ponad tą bystro ciekącą strugą, —
Podaj rączynę, podaj mi drugą...

Czy ty mnie dziewczę czarujesz zdala, —
A nie chcesz, by nas złączyła fala, —
Czy ty mnie zwodzisz, czy ty mnie gubisz,
A nie wiesz tego, kogo ty lubisz...

Oj wiem ja dobrze kogo ja lubię, —
Kto mój jedyny w świecie kochanek, —
Lecz nie wiem tego, kogo poślubię,
Komu dziewiczy swój oddam wianek...

III.

Ej ty brzózko grzędą siana —
Koszulinko haftowana
Krasawico roześmiana...

Mała brzózka nie trzebiona,
Koszulinka nie rąbiona,
Krasawica nielubiona...

Brzózka wianek mchu przypina,
Koszulka się rwać zaczyna,
Dziewczę śmiać się zapomina...

Z brzóz opada strój bogaty
Koszulinka rwie się w szmaty,
Dziewczę roni łzy i kwiaty...

Brzózkę szron uśnieżył biały,
Koszulinki haft spłowiały,
Dziewczę tęskni przez dzień cały...

Brzózka puszcza pączki świeże
Koszulinka w łzach się pierze, —
Dziewczę kwiat nadziei bierze...

Brzózka w liściach, w ptaszkach cała, —
Koszulinka czysta, biała,
Krasawica... pokochała!..

IV.

Kraju rodzony!
Z dalekiej strony,
Jęk łzą zwilżony
Z serca ci ślę!..
Tam szumią puszcze —
Tam fala pluszcze —
Tam w dzikie bluszcze
Brzeg stroi się...

Tuman nad siołem —
Chaty pospołem
Słomianem czołem
Patrzą zza mgły!..
Dalej krzyż stoi —
Darń groby stroi —
Tam wszyscy moi —
Tam moje łzy!..

DWIE WIZYTY JEGO EKSCELLENCJI.

SZKIC WIERNIE ZDJĘTY Z NATURY.

Przez *Michała Bałuckiego.*

Zacząć muszę od oklepanego: «*było to w roku...*,» albowiem data stanowić będzie ważny czynnik w niniejszem opowiadaniu. A więc było to w roku 1862, w epoce czamarek i patrjotycznej żałoby, w której panny śpiewały ulubione: *kwiatki nasze*, w której księgarze galicyjscy sprzedawali tyle książek, jak nigdy przedtem ani potem, w której konserwatyści, zwani wtedy jeszcze *białymi* (dziśby tego o wszystkich powiedzieć nie można) chowali starannie przed oczami opinji publicznej swoje fraki, cylindry i przekonania polityczne, a po kościołach wyśpiewywali pieśni narodowe, nietyle na chwałę Pana Boga, ile ad captandam sobie benevolentiam młodzieży, która wtedy nosiła Słowackiego w kieszeni, w sercu, w głowie, w ustach i wodziła rej w narodzie.

Otóż w tym czasie losy zaniosły mnie w charakterze nauczyciela do pewnego domu obywatelskiego, którego gospodarz stał na przełomie pomiędzy starą szlachtą polską a nowoczesnymi hrabiami galicyjskimi, z którymi był spokrewniony przez ciotkę swoją, typową lafiryndę z czasów meternichowskich, opisaną w «Parafijańszczyźnie.» Pan Andrzej, — bo takie miano nosił ów szlachcic, tolerował te słabości familijne do hrabiowskich pałek, ale im sam nie ulegał zbytecznie i jaśnie wielmożnych kuzynów swoich traktował jak zwyczajnych śmiertelników, co oni z rezygnacją znosić musieli jako zależni od jego łaski. Krótko mówiąc, pomimo różnych wad i słabości, czysto szlacheckiej natury, pan Andrzej miał dużo serca, dużo poczciwości i zalet towarzyskich; przyjacielski, wesoły, uczynny, umiał sobie jednać przyjaciół i dom jego stał się punktem zbornym dla całej okolicy. Regularnie prawie w każdą niedzielę i święto aleą topolową przesuwały się co chwila bryczki, eleganckie faetoniki, powozy

Naprzód mieli szan. prenumeratorzy rozmaitość nieodbierając Przeglądu w dnie oznaczone, a jak wiadomo rozmaitość bawi i broni od nudów. Następnie mieli niespodziankę odbierając jednocześnie aż dwa nra Przeglądu: prenumerując dwutygodnik otrzymywali miesięcznik. Chcąc wynagrodzić prenumeratorom przykre dni oczekiwania Przegląd pomieszcza same oryginalne nowelle i to pióra takich pisarzy jak Bliziński i Bałucki, kiedy za czasów regularnego wychodzenia żywił czytelników tłomaczeniami. Co więcej, wydawca uznając swą winę, a pragnąc uzyskać przebaczenie zamierza wynaleźć «premię» dla prenumeratorów, o czem przedtem ani myślał. Zebrawszy to wszystko razem przeprowadziłem zdaje mi się dowód, iż prenumeratorzy nic nie stracili na opóźnianiu się Przeglądu.

W ogóle opóźnianie się nie jest rzeczą zdrożną, a czasem bywa wielce pożyteczną. Gdyby naprzykład był się prezes czytelni akademickiej spóźnił na wieczorek mickiewiczowski, byłby ten ostatni przeszedł spokojnie i nie pozostawił po sobie przykrego wspomnienia. Prawda, że pan prezes nie zyskałby rozgłosu, prawda, że Dr. Jordan nie miałby sposobności wyrazić swoich opinij politycznych, ale też biedaczka Reforma nie męczyłaby się kwestją «czy ma się solidaryzować, czy niema się solidaryzować», a i ja nie byłbym zmuszony do wypowiedzenia swego zdania w tym przedmiocie.

Nie mam bynajmniej zamiaru rozbierać mowy prezesa czytelni. Uważam zastanawianie się nad jej treścią za zbytek grzeczności ze strony dziennikarstwa, a wątpię bardzo, aby czytelników moich obchodziło to jakich zasad jest pan prezes, jakie są jego zapatrywania polityczne i jaki program dla zbawienia narodu obmyślić raczył. Ja pragnę tylko zwrócić uwagę na zastraszające objawy politykomanji.

Wieczorki mickiewiczowskie były jeszcze przed paru laty urządzane w celu oddania hołdu poecie — dziś zmieniły się one w dysputy polityczne, przeplatane deklamacją, śpiewem i grą na fortepianie. Stały się one środkiem do wypłynięcia na wierzch «młodych polityków», nie chodzi dziś bowiem bynajmniej o Mickiewicza, tylko o popisanie się młodych panów prezesów i młodych panów professorów. Co tamci panowie mówią, o to mniejsza: podwalin świata nie wstrząsą, Bismarka nie przestraszą—ale sam fakt pozostaje i to fakt smutny, że politykomanja, z której napozór wyleczyliśmy się, zaczyna na nowo grasować i to w tych sferach, od których szczególniej zdala być powinna.

Kilka to lat zaledwie mija jak Akademja głosiła kosmopolityzm nauki, jak ś. p. Szujski walczył w obronie zdania, iż nauka nic wspólnego z polityką mieć nie może, jak tenże Szujski i inni żyjący dziś professorowie nie pozwalali młodzieży przemówić kilku słów nad grobami Skobla i Dietla, bo «młodzież milczeć powinna». Występowano przeciw takiemu pojmowaniu rzeczy, przeciw takiemu zasklepianiu się nauki, takiemu milczeniu młodzieży. I nikt się wówczas nie spodziewał, że nastąpi zwrot całkiem inny,

z gośćmi, przeważnie sami mężczyźni, bo pan Andrzej był od kilku lat wdowcem, a stara ciocia hrabina nie zawsze miała ochotę robić damom honory domu, szczególniej takim, o których była w wątpliwości *kto je rodzi*. Przeważnie więc mężczyźni tylko zjeżdżali się na te niedzielne zebrania, których program był zawsze prawie jeden i ten sam: naprzód wódeczka, przekąski, wędlinki, marynaty, potem gawędka w fajczarni, która nieraz zamieniała się w żywe dysputy trwające aż do obiadu, a nawet często prowadzone i podczas obiadu, który nawiasem mówiąc był zawsze wyśmienity, bo pan Andrzej lubiał mieć dobrego kucharza i dobre wina, miał ambicję na tym punkcie. Po obiedzie towarzystwo rozpryskiwało się na drobne kółka, jedni wynosili się do ogrodu i tam spacerując około gazonów z cygarami w ustach obrabiali wielką i małą politykę, inni grali w bilard, inni zasiadali do wista lub preferansa, a służba uwijała się pomiędzy gośćmi, roznosząc na tacach kieliszki napełnione białem winem, czerwonem winem, miodem, wiszniakiem, czego sobie kto życzył. Gospodarz chodził, prosił, zachęcał, tu wmięszał się do dysputy, tam palnął jaki żarcik, który przyjęto wybuchem głośnego śmiechu, owdzie przysiadł się na chwilę do grających, aby zapytać przy kim szczęście lub zastąpić nieobecnego partnera, słowem wszędzie umiał się znaleźć w porę, rozruszać gościa i rozbawić. To też nad wieczorem było w szlacheckim dworku jak w ulu — gwarno, wesoło, czasem nawet hałaśliwie, a dymu w pokojach tyle, że światło kandelabrów tłumił i ludzie wydawali się jak cienie w obłokach. Po wieczerzy, która była niemniej sutą jak obiad, rozjeżdżali s ę powoli goście. Powozy zajeżdżały wtedy jedne po drugich przed ganek oświetlony mocno przez służbę, na tle tej jasności widać było sylwetki gości żegnających się kordyalnie z gospodarzem, słychać było głośne całusy z dubeltówki,—wołania: do widzenia, a nie zapominajcie o mnie, dobranoc itp., które leciały za powozami ginącemi w ciemnościach. Trwały nieraz do godz. jedenastej i dłużej takie pożegnania. I tak było w każdą niedzielę prawie.

Jednej takiej niedzieli po południu, właśnie gdy goście wstawszy od obiadu, zaczęli się rozchodzić po pokojach a amatorowie wista zasiadali do zielonego stolika, jakiś elegancki powóz zajechał przed ganek.

— Kto to? — kto przyjechał? — pytali się siedzący przy stolikach tych, co byli bliżej okna.

— Czy nie Raptulewicz — tylko, że on ma ognistsze konie.

— Powóz wiedeński—może Szwejkowski — jego żona już od dwóch lat męczyła o wiedeński powóz.

Wśród tych rozmów zbliżyło się kilku panów do okna i zbici w gromadkę oczekiwali kto wysiędzie z powozu. Ale zaledwie wychyliła się z niego jakaś głowa w cylindrze—*ekscellencja!* dał się słyszeć głos i wszyscy jak oparzeni odskoczyli od okna.

— Andrzeju! — odezwał się jeden z nich do gospodarza, który właśnie z dalszych pokoi spieszył na powitanie przybyłego gościa — dostałeś wizytę od siedmiu boleści.

— Któż taki?

— Ekscellencja! — rzekł ten sam drwiąco.

— Tak?

Po minie, jaką zrobił gospodarz, widać było, że i jemu ta wizyta nie bardzo przypadła do smaku.

— Myślisz go przyjąć?

— Cóż robić — trudno mu dać przy drzwiach odprawę— zwłaszcza, że to daleki krewny.

— To idźże, baw go sobie — ja uciekam.

— I ja.

— I ja — dało się słyszeć kilka głosów.

— Ależ bójcie się Boga, nie róbcie mi tego — prosił gospodarz, zatrzymując gości. Może nie będzie długo bawił.

— Ja ani chwilki nie chcę być razem z takim człowiekiem.

— Ani ja — dorzucił inny.

— Tożby nam dopiero dogryzał mecenas, gdyby się dowiedział, żeśmy byli w jego towarzystwie. Będziesz się miał z pyszna od niego za to.

— No, zmiłujcie się, przecież ja jako gospodarz.

— Ty co innego; ale ja nie mam żadnego obowiązku. Janie, każ memu Walentemu zajeżdżać.

— I mój niech zaprzęga.

— I mój.

Gospodarz był w niemałym kłopocie co robić. Żal mu było gości, nie miał ochoty rozstawać się z nimi, a tu już był wielki czas iść na powitanie przybyłego. Nie wiedział co zrobić. Wtem nadbiegł służący.

— Proszę pana, ten pan...

— Idę, idę — no do widzenia, moi drodzy — darujcie, ja temu nie winien, skoro przyjechał to cóż robić, obowiązki gościnności.

Tłomaczył się, przepraszał i dopiero powtórne pojawienie się służącego we drzwiach skłoniło go, że wyszedł spiesznie na ganek.

że z katedr uniwersyteckich nie słowa nauki lecz polityka głoszoną będzie, że młodzież z programami politycznemi wystąpi publicznie. Ostateczności zeszły się.

Młodzieży i jej prezesom najmniej się dziwić należy. Oni naśladują swych przełożonych, a że inaczej niż oni politykują to dowód, że ci przełożeni wpływ wywierają tylko pod względem formy a nie pod względem treści. Kto wie czy nie byłoby rzeczą właściwą oznaczyć minimum lat, naprzykład 40, dla tych, co na katedrach zasiadać pragną. Zasiadaliby wówczas na nich ludzie nauki, których celem byłoby zaznajamianie młodzieży z wynikami wiedzy, a nie wyzyskiwanie naukowego stanowiska dla własnej karjery. Professor prawa polskiego nie wykładałby «dziejów porozbiorowych» dla pokazania swych zdolności politycznych, professor historji polskiej nie stawiałby programów i nie nauczał o «mądrości wężej i łagodności gołębiej», bo mu nie o wężach i gołębiach gadać ale o tem kiedy się urodził, co robił i kiedy umarł Kazimierz Jagielończyk lub Bolesław Wstydliwy.

Choroba politykomanji przechodzi już do uczniów gimnazjalnych. Wszak w zeszłym roku jakiś 7-klasista stawiał również swój program polityczny, a niezadługo wyczytamy, że «Józef Szporek, uczeń IV-tej klassy normalnej w pełnem głębokich myśli przemówieniu wskazywał narodowi praktyczne drogi prowadzące do upragnionego celu.» «Reforma» mowę tę wydrukuje, «Czas» wystąpi ze świętem oburzeniem, Gazeta Krakowska zrozpaczy o przyszłości kraju, a Dr. Jordan wszech wobec i każdego zosobna uwiadomić nie omieszka, że się nie solidaryzuje z p. Szporkiem, co naturalnie wielkie wrażenie wywoła w Madrycie.

W samym Krakowie mamy polityków lekko licząc ze 100.000 cetnarów. Każdy zbawia kraj na swój sposób, każdy woła: czynu, a co najwyżej powie mowkę, pełną starych i przewietrzałych frazesów.

Czynu, wołał raz w knajpie, czynu trzeba, czynu!
A domyślny gospodarz dał mu szklankę dżinu.

Stary to dwuwiersz, bo jeszcze z epoki pierwszej emigracji (bodaj czy nie wyszedł z pod pióra Goreckiego), ale wymowny swoją treścią. Dawniej «człowiek czynu» upajał się wódką, dziś upaja się własną wielkością i frazesem — skutek bywa jednaki.

A polityka ta zaczyna już przenosić się na wieś. Oto mam przed sobą jakiś wiersz na obchód mickiewiczowski w czytelni w K.... w którym czytam:

Malutcy — ona w letargu
Obecnie — ale sza! w targu
Między Taaffem i Bismarkiem
Ona by wróbel pod garnkiem.

A przyznam się, że przekładam już tego «wróbla pod garnkiem» nad «gołębie» pana Smolki, bo naprzód ten wróbel siedzący gdzieś na wsi nie jest szkodliwy, a wreszcie mówi sza! i zostawia wolne ręce Taaffemu i Bismarkowi. Wolę także cały ten utwór niż mowę pana prezesa czytelni, zamiast bowiem frazesów o czynie, poeta-polityk wiejski żąda, byśmy szli

Za małej mrówki przykładem
Choć w pocie za pługa zadem.

Czas już wielki, bo przybyły niecierpliwił się czekaniem. Był to mężczyzna w średnim wieku, dużego wzrostu, okazałej tuszy, z twarzą wygoloną, w złotych okularach, za któremi jedno oko z odwróconą czerwoną powieką wyglądało jak w rubinowej oprawie, wargi miał mięsiste, nieco obwisłe, a wyraz twarzy nieprzyjemny, odrażający, który teraz w skutek niezadowolnienia, jeszcze więcej stał się niemiłym.

— No cóż, gdzie pan? — spytał wyniośle, szorstko służącego, który właśnie wrócił z pokojów.

— Pan już idzie.

— Jakoś mu nie pilno — mruknął skrzywiwszy usta.

W tej chwili pojawił się gospodarz.

— Powitać, powitać kochanego pana — rzekł siląc się na humor i pogodną twarz, — dawno już nie mieliśmy przyjemności.

— Czy to przyjemność dla ciebie nie wiem; ale że dawno, to pewno, skoro miałeś czas zapomnieć o naszem kuzynostwie i tytułujesz mnie *panem*.

— Daruj łaskawy kuzynie, ale nie myślałem—przepraszam.

— Jeżeli ci to wszystko jedno, to przepraszaj mnie w pokoju, nie przed drzwiami, bo ja tu nie z listem do ciebie przyszedłem.

— Proszę, bardzo proszę — rzekł gospodarz zmieszany sarkastycznym tonem gościa i wprowadził go do salonu, który już zupełnie się tymczasem wypróżnił, bo goście chcąc uniknąć spotkania z przybyłym powynosili się do bilardowego i do dalszych pokoi, czekając tam, aż im zaprzęgną.

Ekscellencja bez ceremonji rozwalił się na kanapie, a rozglądając się po salonie, którego nieład zdradzał bytność niedawną gości — odezwał się fiksując czerwonem okiem gospodarza:

— Mówiono mi, że u ciebie zjazd dzisiaj, a tu nikogo nie widzę.

— Było kilka osób, ale...

— Ale uciekli przedemną — dokończył za niego. Durnie, błazny—mruknął pod nosem, sztukając laską o podłogę,—bawią się w patrjotów. Głupio się skończy ta zabawka.—Nagle podnosząc głowę, spytał: A gdzież ciotka? synowie? Czy i oni się pochowali przedemną?

— Nie wiedzą zapewne — tłomaczył się gospodarz, a zwracając się do mnie zaambarasowany rzekł:

— Możebyś pan był łaskaw poprosić ciotki — zawołać chłopców.

Pospieszyłem zadość uczynić jego żądaniu, bo mi się żal zrobiło poczciwego pana Andrzeja, który w obec wyniosłego i lekceważącego tonu, z jakim go traktowała Jego Ekscellencja, stracił zupełnie fantazją i pewność siebie. Zastałem ciotkę hrabinę bawiącą się ruletą, było to jej ulubione zajęcie. Robotą żadną nie zajmowała się nigdy, uważając to za ubliżenie osobie *dobrze* urodzonej, książek nie czytywała, wyjąwszy nabożnych; po całych tylko dniach kładła pasjanse, albo grywała sama ze sobą w ruletę, znacząc wygraną ziarnkami kolorowej fasoli, których zapas wielki nosiła zawsze w kieszeniach. Gdy się jej udało wygrać większą sumę, lub gdy pasjanse wychodziły pomyślnie, wpadała w dobry humor i opowiadała wtedy wszystkim o swojem szczęściu, a przedewszystkiem zielonej papudze, którą trzymała w swoim pokoju w mosiężnej klatce i uczyła francuzkich rozmówek. Oprocz tego chowała białe myszy, od których zapach był taki niemiły w pokoju, że z pewną odrazą wchodziłem tam co rano z moimi uczniami, którzy mieli obowiązek obcałowywania na dzień dobry kościstych, brudnych rąk hrabiny-babci. Bardziej niż mysie fetory, odstręczała mnie od niej głupia duma, z jaką traktowała podwładnych, tytułując ich w trzeciej osobie i brzydkie samolubstwo. Ta kobieta nie umiała kochać nic, nikogo, prócz siebie, niezdolna była myśleć o niczem, tylko o własnych wygodach i to starość jej czyniło wstrętną, odrażającą. To też unikałem jej ile możności i tylko chęć ulżenia panu Andrzejowi w bawieniu gościa skłoniła mnie, żem poszedł dać jej znać o jego przybyciu.

— A co tam? — spytała kwaśno niekontenta, żem jej przerwał ulubione zajęcie — czego chce?

— Gość przyjechał — rzekłem.

— To dlaczegóż z tem do mnie? — niech powie panu.

— Właśnie pan mnie przysłał powiedzieć, że Jego Ekcellencja...

— Ekscellencja? — spytała żywo z rodzajem bałwochwalczej adoracji, wymawiając ten tytuł — czy przypadkiem nie Jego Ekscellencja... tu wymieniła nazwisko.

— Tak mi się zdaje.

— To czemuż mi tego zaraz nie mówił — rzekła, zgarnując co prędzej fasolę ze stołu i pakując do kieszeni. Proszę powiedzieć, że będę mu służyć za chwilę. — Co za gość, co za gość!—Ludwiko — prędzej moją grodnaplową suknię, — a widząc że Ludwika nie pojawiła się na zawołanie, zaczęła niecierpliwie targać tasiemkę od dzwonka, a ciągle powtarzała: co za gość — co za gość!

Zostawiwszy starą hrabinę zachwyconą i wzruszoną całą

Wszystko co powiedziałem pragnę zreasumować.

Kto ma szczęście i zaszczyt znać piszącego te słowa, ten wie, iż nie pałam wielką miłością do p. Mikołaja Zyblikiewicza a jeszcze mniej mam afektu do pp. ministrów rodaków. Ekscellencja Grocholski jest mi całkiem obojętnym, a gubernatorowi Laenderbanku nigdy nie przebaczę opuszczenia zaszczytnego stanowiska dla służenia intesom giełdowiczów. A jednak gdyby czy to p. Zyblikiewicz, czy pp. Dunajewski, Wodzicki, Grocholski, Ziemiałkowski lub Hausner, Czerkawski, wystąpili z programem politycznym, to chociażbym z nim jak Dr. Jordan z mową «prezesa» nie solidaryzował, jednakowoż powiedziałbym: ci mają prawo pisać programy, bo stanowisko ich jest polityczne. Ale, pomijając wszystkie części świata i potencje europejskie, Austrja, Galicja, a nawet magistrat krakowski, nawet Koło literackie, nawet pan Wentzel, Dr. Buszek, p. Rzewuski, Dr. Czesznak, pp. Feintuch, Kornecki, Wasilkowski, Rząca, Zieleniewski, Zaremba, Baruch, Dr. A. Ziembiński, Dr. Wilkosz, Dr. Kastory, i niżejpodpisany najmniejszej pociechy mieć nie będą i bynajmniej nie zainteresują się tem co myśli p. Bobrzyński, jak się na sytuację zapatruje p. Smolka, jaki program stawia p. Jendel, czego chce siodma klassa gimnazjum św. Anny i jaki horoskop stawia na przyszłość pan Józef Szporek.

A nietylko na polu politycznem mamy taką wieżę Babel. Pan Andrzej Potocki, który nic nigdy nie popełnił drukowanego, jest reprezentantem prassy polskiej, hr. St. Tarnowski dobry fejletonista literacki zostaje prezesem komissji historycznej Akademji, a sługa wasz pokorny zbiera materjały do dzieła o desinfekcji...

W Krakowie ta ostatnia bardzo postępuje, Dowodem jest «Przegląd Polski», który żałując, iż był przez lat kilka dość przyzwoitym organem, pragnie obecnie wielką przysługę wyświadczyć społeczeństwu, a w szczególności dziennikarstwu. Oto redakcja wymogła na pewnej liczbie naszych «młodych uczonych», iż ci jej przyrzekli wszystkie płody swego genialnego ducha umieszczać li tylko w Przeglądzie polskim. Dezinfekcja zatem naszej perjodycznej literatury jest już pod pewnym względem dokonaną, gdyż miazmaty wydobywające się z prac naszych młodych uczonych, jako to: zarozumiałość, mędrkowanie, zawiłość stylu, nieczystość języka, z jednego tylko będą wydobywały się zbiornika. A ponieważ ten zbiornik ma tylu premumeratorów, iż pan Antoni Sozański liczy przyjaciół politycznych, spokojnym być przeto można o dobry stan «zdrowotności» naszej literatury.

Wracając się jeszcze do wieczoru mickiewiczowskiego muszę podnieść projekt rzucony przez jednego z członków «Koła literackiego». Proponuje on, aby obie mowy: akademika i professora wygłaszane bywały odtąd jednocześnie, przez co uniknie się straty czasu, a rezultat będzie jednaki. Przyszłemu komitetowi wieczorku projekt ten polecam.

K. B.

przybyciem dostojnego gościa, poszedłem po chłopców. Siedzieli oni jak się dowiedziałem od lokaja, w altanie brzozowej z księdzem wikarym, który z nimi co niedziela po nieszporach odprawiał repetycje katechizmowe. Były to dzielne chłopaki, to tylko chyba miałbym im do zarzucenia, że zbyt często lubili wspominać o swojem powinowactwie z hrabiami i pochlebiało to ich próżności, gdy który fagas dla przypodobania się zatytułował ich jasnymi paniczami. Ale zresztą byli jakby żywą kopją ojca: szczerzy, serdeczni, otwarci i gościnni. Szczególniej starszy Karolek odznaczał się temi przymiotami, serce u niego było jak na dłoni, uczynność taka, że ostatnią koszulę oddałby biednemu, a przytem taki przytulny, przyjacielski, że niepodobna go było nie pokochać. Obydwóch ubierał ojciec według ówczesnej mody w czarne żupaniki z lakierowanemi paskami, spiętemi na srebrne klamry z orłem i pogonią, spodenki w butach, a na głowie rogatywki granatowe z ponsowemi wypustkami.

— Chłopcy — rzekłem wchodząc do altany — chodźcie do pokoju przywitać gościa — przyjechała Jego Ekscellencja.

— Ekscellencja?! — rzekł Karolek i skrzywił się, jakby coś obrzydliwego połknął.

— Co to za Ekscellencja? — spytał młodszy Julek.

— Wiesz — ten — z wywróconem okiem — tłomaczył mu Karol.

— Co to chciał nas oddawać do Teresianum?

— Ten, ten.

Julek się także otrząsnął i mruknął:

— Szwabisko nieznośne.

— Możeby można nie iść? — odezwał się Karolek — adresując nieśmiało do mnie to pytanie.

— Tatko kazał — odrzekłem.

— Cha, to chodźmy.

I z kwaśnemi minami poszli powolnym krokiem ku domowi.

Ja z księdzem szliśmy za nimi kilka kroków.

— Co to jest — spytałem go — że ta Ekscellencja tak tutaj nielubiana.

Machnął ręką pogardliwie i nachylając się ku mnie rzekł zniżonym głosem:

— Kreatura rządowa — zły Polak, a do tego i lichy człowiek.

Na dalsze objaśnienie nie było czasu, bo pan Andrzej z ganku wzywał nas, abyśmy szli co prędzej bawić gościa, bo on w tej chwili niema czasu.

Poszliśmy więc do salonu, gdzie Jego Ekscellencja siedział sam, rozparty w fotelu i bawił się puszczaniem pod sufit kółek z dymu cygarowego. Obok niego na małym stoliczku postawiono wino, po które sięgał od czasu do czasu.

Chłopcy wszedłszy do salonu szustnęli po podłodze nogami na powitanie, a potem poszli ucałować rękę udekorowaną sygnetami, którą trzymał opartą na poręczy krzesła.

Wytrzeszczył na nich swoje rubinowe, nieruchome oko, obejrzał jednego i drugiego, skrzywił się niezadowolniony i spytał drwiąco:

— A to co ma znaczyć ta maskarada—gracie teatr czy co?

— Jaka maskarada? — Co za teatr? — spytał Karolek patrząc mu prosto w twarz.

— No, ten wasz ubiór cudaczny.

— To polskie ubranie — odparł Karolek rezolutnie, z pewną przechwałką.

— To polskie ubranie? — Gdzieżeś ty widział takich Polaków? Chyba we Lwowie po ulicach, bo to tam wymyślono tę modę. To kominiarski strój, nie polski. Albo to — mówił dalej biorąc czapkę z rąk Karolka i obracając ją z drwiącą miną na wszystkie strony—do czego to podobne?—o! Błazeński koncept.

To powiedziawszy rzucił wzgardliwie czapkę pod ścianę.

Karolek poczerwieniał, oczy mu się zaiskrzyły na taki despekt i spojrzał na nas, jakby pytał co my na to. Ale cóż tu było powiedzieć, besztać przecież Ekscellencji w obcym domu niewypadało, zwłaszcza, gdy się zajmowało tam podrzędne stanowisko. Więc choć gotowało się nam w piersiach z oburzenia, jawnie tego pokazać nie mogliśmy. Zaledwie odważyłem się na to, że kazałem Karolkowi podnieść czapkę, robiąc mu przytem uwagę, że ojciec gniewałby się na niego, gdyby zobaczył, że tak nie szanuje swoich rzeczy i poniewiera je po ziemi. Ekscellencja zrozumiał dobrze do kogo właściwie adresowałem te słowa, bo spojrzał na mnie z podełba i spytał:

— Zapewne preceptor?

— Tak — odrzekłem.

— To dziwna, że pan nie ukostiumowałeś się na Polaka— rzekł patrząc z pewną ironją na me zwykłe ubranie.

— Nie przywiązuję wielkiej wagi do tego, ale nie widzę powodu natrząsania się z tych, którzy w ten spsób chcą manifestować swoje uczucia patrjotyczne i przekonania i dziwię się, że Ekscellencja uważasz to za złe, skoro nawet rząd...

— Rząd, rząd — rzekł wstając zniecierpliwiony — rząd jest pobłażliwy i patrzy przez szpary na te głupstwa, bo rząd ma siłę, ma wojsko i nie potrzebuje się obawiać waszego beczenia po kościołach i czarnych cholewek; ale młodzież się tem zbałamuca, umysły się egzaltują i rozpalają niepotrzebnie.

— A panowie — rzekł zwracając się nagle do wikarego — duchowieństwo — zamiast uspokajać, naprowadzać na drogę rozsądku, podniecacie jeszcze ten zgubny ogień.

— My? — spytał ze zdziwieniem wikary.

— Tak, tak — panowie — mówił sapiąc z irrytacji i stukając laską o posadzkę. Wymyślacie jakieś niebywałe nabożeństwa, procesje, śpiewy, awantury i prowadzicie lud do katastrofy.

— Religja nie nakazuje wypierać się narodowości, modlić się za ojczyznę...

— Właśnie, że zakazuje, powinna zakazywać. Religja niema narodowości. W piśmie świętem jest tylko mowa o Panu Bogu i cesarzu, o ojczyźnie niema tam ani słowa. Pan jako ksiądz powinieneś wiedzieć.

Ksiądz chciał coś odpowiedzieć, gdy wtem otworzyły się drzwi i ukazała się na progu ciocia-hrabina; ale jakże zmieniona do niepoznania, że oczom własnym nie mogliśmy uwierzyć. Widywaliśmy ją zwykle w ciemnym szlafoczku, czepku, zaniedbaną w ubraniu i brudną, a teraz stanęła przed nami wyświeżona, wyfiokowana, w sukni popielatej z długim stanem, w koronkowym szalu na ramionach i płytkich trzewiczkach na ażurowych pończochach. Wyglądała jakby żywcem wyjęta z portretu elegantka z epoki Stadyjonowskiej. Nie brakowało złotej bombonierki z pastelkami, ani różu na zwiędłej twarzy, muszek upiększających i woni paczuli modnej na owe czasy, którą napełniła cały salon.

— Ach co za szczęście — zawołała w progu z przesadną afektacją, wyciągając chudą rękę, zakrytą jedwabną rękawiczką do przybyłego — taki gość, taki gość! Ekscellencja w jednej chwili z gwałtownego polityka zmienił się w ugrzecznionego salonowca i z galanterją starego kawalera posunął się z twarzą uśmiechniętą na powitanie odświeżonego antyku. Zaczęły się ceremonialne dygi i ukłony, jakby się zabierali do menueta, przeplatane wyszukanemi grzecznościami i sztuczną afektacją. Ekscellencja prawił hrabinie komplementa o prześlicznem wyglądaniu, gustownej toalecie, hrabina zaś uderzając go z lekka wachlarzem po ręce, nazywała niepoprawnym bałamutem, zajmującym jak

zawsze *causerem* i chwaliła nawzajem jego czerstwość i żywość. Mało brakowało, żeby rozpędziwszy się w pochwałach, nie zaczęła unosić się nad pięknością jego rubinowego oka.

Tak komplementując się wzajemnie przeszli pompatycznie do kanapy, gdzie usiadłszy poczęli odgrzebywać wspomnienia młodszych czasów, które głównie obracały się około balów namiestnikowskich. Tak świetnie, tak uroczo przedstawiały się te czasy w ich wspomnieniach, że słuchając ich opowiadania niktby nie przypuszczał, że więzienia wtedy były przepełnione nieszczęśliwymi, że niektórzy z nich ginęli na szubienicach, że ajenci policyjni i płatne szpiegi łowili pilnie uchem każde patrjotyczne westchnienie, każdy najlżejszy objaw patrjotycznych uczuć, aby je stłumić w zarodku, że cenzura zamykała usta ludziom i dziennikom, a tajne sprężyny pracowały gorliwie nad poważnieniem chłopów z panami, Rusinów z Polakami. O tych wszystkich ciemnych stronach tamtych czasów nie wspominano wcale, a jeżeli przypadkiem które potrąciło o nie, to z pewną wzgardą i lekceważeniem, jak się mówi w salonach o złoczyńcach i motłochu. Osobistości, które smutnie i krwawo zapisały się na kartach naszych dziejów porozbiorowych, w opowiadaniu Ekscellencji i hrabiny przedstawiały się, jako pełne dystynkcji towarzyskich zalet, uprzejmości, zachwycano się ich tańcem, wymową, taktem, słowem życie tych ludzi przedstawiało się jak jeden ciągły bal, na którym tańczono, bawiono się, romansowano, zawiązywano niewinne intrygi, urządzano niespodzianki, nie myśląc wcale o tem, że za oknami sali balowej jest ciemna noc, w której chowała się zbrodnia i boleść. Hrabina sekowała Ekscellencję pięknościami, które dziś już pewnie są zgrzybiałemi staruszkami i nawzajem on wspominał jej o adoratorach, których większa część przeniosła się już na tamten świat. Było coś obrzydliwego w tej spruchniałej kokieterji dwojga staruszków, od których zalatywała już zgnilizna grobów, a śmiesznem było widzieć, jak oboje ożywieni wspomnieniem, zgrzybiałemi ciałami usiłowali imitować młodzieńcze ruchy i przekwitłą elegancją dawnych czasów.

Te ich rozkoszne reminiscencje przerwało wejście gospodarza, który jak się domyślam, z umysłu przeciągał swoją nieobecność, aby jak najmniej potrzebował bawić gościa. Dla tego samego powodu, jak się zdaje, kazał przyspieszyć herbatę; chciał co prędzej odbyć się i pozbyć obowiązków gościnności. Podczas herbaty rozmowa zeszła na edukacją synów pana Andrzeja. Ekscellencja radził ojcu, aby ich sposobił do służby rządowej i co prędzej wysłał do Wiednia, gdyż tam przy jego wpływach i protekcji czeka ich świetna przyszłość.

— Niechno tylko twoje chłopcy — mówił, klepiąc pana Andrzeja protekcjonalnie po ramieniu — pokończą szkoły, to my już pokierujemy nimi. Ani się opatrzysz jak ci syna zrobię starostą albo komisarzem namiestnictwa. Tylko trzeba, żebyś ich co prędzej wysłał do Wiednia dla dokończenia edukacji. Bywszy tobą tobym się także przeniósł do Wiednia, bo co tu robić w takiej podłej dziurze, jak ta Galicja? Ja bym się tu zanudził na śmierć.

— Wszędzie można się nudzić jak niema zajęcia—zauważył pan Andrzej, który z widoczną niechęcią słuchał gadania Ekscellencji i kręcił się niespokojnie na krześle, rzucając czasem na mnie i księdza spojrzenie, mówiące wyraźnie, jak mu nie do smaku była mowa gościa i jego osoba.

— To nie znasz Wiednia mój drogi, skoro tak mówisz — odezwał się Ekscellencja. Tam nie można się nudzić, choćbyś chciał nawet, bo wszystko cię rozrywa, bawi, zajmuje. I oczy i uszy i podniebienie, wszystkie zmysły mają swoje najwykwintniejsze przyjemności.—Tu zaczął wyliczać wszystkie możebne przyjemności stolicy, kreślić wymownemi słowami tryb życia wyższego świata wiedeńskiego, jego zabawy, przepych i uroczystości dworskie. Pan Andrzej słuchał go roztargniony i kwaśny, ale za to ciocia—hrabina i oczami i uszami połykała chciwie każde jego słowo, przerywając mu czasem wykrzykami zachwytu lub pytaniami. Ekscellencja wpadał w coraz lepszy humor.

— No, przenieś się do Wiednia — rzekł wreszcie do pana Andrzeja — zrobimy cię prezesem jakiego banku, postaramy się o order i przerobimy mit Leib und Seele na wiedeńczyka.— Dobrze?

— A obowiązki względem kraju? — spytał go pan Andrzej poważnie? — Ekscellencja skrzywił się na to pytanie.

— Z ciebie zawsze niepoprawny marzyciel. Wiecznie jakieś ideały chodzą ci po głowie.

— Czy Ekscellencja nie masz żadnych? — spytał pan Andrzej z przekąsem.

— Jak na teraz, to marzeniem mojem jest dostać dobrego kucharza. Nie irytuj się mój drogi, jak będziesz w moim wieku, to się przekonasz, że to wiele znaczy w życiu. Większą część stosunków jakie mam w Wiedniu, zawdzięczam memu kucharzowi. Ale bo też miałem kucharzy — prawdziwych artystów.

Pan Andrzej nic się na to nie odezwał; zapewne osądził, że nie warto dysputować z człowiekiem, którego życia ideałem był dobry kucharz.

Zamilkł więc i nie mięszał się wcale do rozmowy. Stara hrabina jakiś czas ją jeszcze podtrzymywała, ale że przyzwyczajona była kłaść się wcześnie spać, więc pomimo adoracji, jaką miała dla dostojnego gościa, pomimo poruszonych świeżo wspomnień młodości, zdrzemnęła się parę razy i coraz głębsze pokłony zaczęła bić głową Morfeuszowi, aż wreszcie musiano ją odprowadzić do jej pokoju. Ekscellencja także znużyła się, zmuszona mówić prawie za wszystkich i objawiła chęć spoczynku. Pan Andrzej czy nie zrozumiał dobrze intencyj jego, czy nie miał chęci zatrzymać go dłużej u siebie, oświadczył, że każe mu zaraz zaprzęgać i wyszedł z pokoju. Chłopcy także wraz z księdzem powstali od stołu i pożegnawszy gościa udali się na spoczynek. Nie pozostawało więc Ekscellencji nic innego, jak powstać także i zabierać się do wyjazdu. Obserwowałem go, gdy wdziewał rękawiczki. Na twarzy jego wyczytać można było łatwo pomimo nadętej miny, że był zirytowany i przygnębiony chłodnem przyjęciem, jakie go spotkało w domu kuzyna, ruchy jego rąk były niespokojne, gwałtowne, wdziewając rękawiczki szarpał je gniewnie i mruczał coś pod nosem przechadzając się po pokoju. Wkrótce powrócił gospodarz i oznajmił, że powóz już zaprzężony. Pożegnanie było chłodniejsze jeszcze jak przyjęcie. Pan Andrzej ani przepraszał, ani dziękował, ani zapraszał na później gościa, tylko podał mu rękę na pożegnanie i w milczeniu wyprowadził na ganek.

— A to ciemno! — rzekła Ekscellencja, patrząc w ogród. Zdaje mi się, że deszcz pada.

— Padał, ale teraz się już niebo wyjaśnia. Niezadługo księżyc wejdzie.

— Zajeżdżaj! — zawołał głośniej na stangreta.

Zasyczały koła po piasku i z ciemności wynurzył się lśniący powóz z parą białych koni i zatrzymał się w pasie światła, które z ganku padało na ogród. Służący otworzył drzwiczki powozu i sprowadził Jego Ekscellencję ze schodków.

— Au revoir — rzekł tenże kiwnąwszy gospodarzowi ręką z powozu.

— Żegnam — była odpowiedź.

Stangret cmoknął na konie i powóz potoczył się w ciemności.

Pan Andrzej odetchnął pozbywszy się gościa i rzekł do mnie:

— Chwała Bogu, że sobie pojechał.
Tak odbyła się pierwsza wizyta Jego Ekscellencji.

Dokończenie nastąpi.

CO ZA HONOR! CO ZA CZEŚĆ!

(„Le senateur.“)

Mam ja żonę — cud piękności,
Którą kocham nad me życie!...
Bo też — jakie znajomości,
Ja zawdzięczam tej kobiécie!..
W jak wysokich sferach krążę
Od dnia mego ślubu prawie!..
Wyobraźcie, — że sam książe
Bywa w domu mym łaskawie!...
Książę!.. Uważajcie tylko,
Co za honor! co za cześć!..
Jakto czasem — szczęścia chwilką
Człek się może raptem wznieść
Nad zasługi i nad stan:
Wszak jam biedak — a on Pan!..
Całą gębą Pan!..

Jak jest dobry trudno wierzyć:
Ot, naprzykład — w karnawale
Chciał stosunki nam rozszerzyć...
Wnet — minister na swe bale
Zaproszenie szle mej żonie...
Naturalnie — i ja z żoną...
Tam mi książę ściska dłonie,
Wciela w wielkich panów grono!..
A więc, uważajcie tylko
Co za honor! co za cześć!..
Ja wam mówię: szczęścia chwilką
Człek się może dziwnie wznieść
Nad zasługi i nad stan!..
Wszak jam biedak —. a on pan!..
Całą gębą pan!..

A jak on we wszystko wgląda!..
Jak myśl nawet chce uprzedzić!..
Ledwie żona coś zażąda, —
Słowa nie da wypowiedzieć:
Jest już wszystko!.. Taki hojny!..
Imieniny, — mam wiązanie...
Żona chora, — niespokojny...
Nie odstąpi na krok, panie!..
Patrząc na to, myślę tylko:
Otóż honor! oto cześć!..
Prawda, że człek jedną chwilką
Może się cudownie wznieść
Nad zasługi i nad stan:
Wszak jam biedak, — a on pan!..
Całą gębą pan!..

Raz — pamiętam — była słota,
Książę u nas... I ja siedzę,
Bo nie lubię miesić błota...
Wtem on, rzekłbyś, że koledze, —
Mówi mi: „Pan może zechce
Jechać? Niech mu służą konie“
Ja się spieram, niby nie chcę
Lecz on: „pocóż ceremonje?..“
Więc w karecie myślę tylko:
Co za honor! co za cześć!..
Jakto jedną szczęścia chwilką
Można się raptownie wznieść
Nad zasługi i nad stan!..
Wszak jam biedak, — a on — pan!..
Całą gębą pan!..

Kiedyś znowu — mnie i żonę
Latem na wieś książę bierze...
Uczty sprawia nam szalone...
I siurpryzy... i wieczerze....
Wino płynie jak ze zdroju...
Trochem podpił... więc w osobnym
Umieszczają mię pokoju...
Leżąc tedy pod ozdobnym
Pawilonem, — myślę tylko:
Boże! jakiż honor, cześć!..
Czyż nie sztuka — jedną chwilką
Umieć tak się bardzo wznieść
Nad zasługi i nad stan?..
Wszak jam biedak — a to pan!..
Całą gębą pan!..

Syna mi powiła żona —
Chrzestnym ojcem jest mu książę..:
Czule ciśnie go do łona...
Rzekłbyś — bliski węzeł wiąże
Księcia pana z mą rodziną!..
I znajduje się tak hojnie,
Że chce zająć się dzieciną.
Więc ja mogę spać spokojnie:
Syn ma przyszłość!.. Zważcie tylko,
Czyż nie honor!.. Czyż nie cześć!..
Czyliż człowiek szczęścia chwilką
Może się już bardziej wznieść
Nad zasługi i nad stan?.,
Wszak jam biedak — a to pan!..
Całą gębą — pan!..

Jednak — jakoś raz przy stole,
(O, — bo książę pobłażliwy —
A to było w swojem kole) —
Rzekłem żartem: „świat złośliwy
Plecie, że mi drogi książę
Płata figle... ja nie wierzę!“..
Snać zrozumiał dokąd dążę,
Bo się zaśmiał coś nieszczerze...
Więc umilkłem, myśląc tylko:
Wszak to przecie honor, cześć!..
Dowód, żem ja jedną chwilką
Zdołał się szczęśliwie wznieść
Nad zasługi i nad stan!..
Cóż, ja? — biedak!.. — A to pan!..
Całą gębą pan!!..

Z Beranger'a **L. Kozłowski**

KLASYCYZM I ROMANTYZM.

Ciąg dalszy.

Lecz oprócz tych wszystkich i to niezbędnych wymagań wieleż to religijny przedmiot z natury swojej przedstawia malarzowi trudności. Zawiera on bowiem często zadanie niemożebne do rozwiązania, zadanie będące, jeżeli się rzecz racjonalistycznie weźmie, kontradykcją, sprzecznością w sobie. Naprzykład obraz przedstawiający Boga-Ojca nie może zwykłego przedstawiać starca. Tu należy każdy wizerunek Chrystusa, (bo Boga a człowieka zarazem), w męce pańskiej o ileż jeszcze trudniejszy, każdy Matki Boskiej z dziecięciem Jezus, bo łączący pojęcia macierzyństwa i panieństwa w sobie. Niemniej i cała martyrologja tego rodzaju przedstawia przedmioty. Bo przecież, jak to teraz czasem francuzcy czynią artyści, niepodobna przedstawić rzeczy z patologiczną ścisłością i prawda, lecz trzeba w twarzy męczennika swiętego okazać oprócz cierpień fizycznych i błogie uczucia, które go ożywiają, a które go odrożniają od zbrodniarza ponoszącego np. podobną karę. Każdy cud tutaj należy, wskrze-

szenie umarłego, tu stworzenie świata, sąd ostateczny, przedstawienie aniołów i szatanów, bo ludzi, a nie ludzi.

Takich zadań podejmować się też mogli tylko artyści wielcy jenjuszem i natchnieniem, a z sercem pokory i pobożności pełnem, ludzie ogromnej wiary. Niema dziś religijnego malarstwa, gdyż inne czasy, niema religijnego natchnienia. Rodzaj ten będzie zawsze przed wszystkiemi innemi przodował, a sławni mistrze o tyle się bardziej wsławili, o ile zbliżyli się do swego ideału, o ile owe niemożebne zadania po mistrzowsku rozwiązali. Podziwiani też będą na każdym stopniu swego rozwoju, czy to w dziełach pełnych prostoty dawnych włoskich malarzy jak Vivarini-Bellini i inni, czy w takichże dziełach staroniemieckich mistrzów tych artystycznych objawach iście naiwnej wiary, czy też w niezrównanych arcydziełach porywającego natchnienia Rafaela i innych jego rodaków.

Przyznać należy, że o ile rzeźba lub snycerstwo podobne do powyżej wymienionych zadań rozwiązać usiłowało, podobneż miało psychologiczne trudności do zwalczania.

IV. *W muzyce* zaliczyłbym tutaj wszelkie pieśni narodowe i ową najdawniejszą tak uroczą muzykę wokalną kościelną.

V. *W literaturze* podobnie jak w budownictwie najjenjalniejsze i najwznioślejsze twory powstały z samorodnego natchnienia. Czy to pieśni, powieści i inne małe utwory poezji ludowej, Homer, albo ci co się na jemu przypisywane poemata składali, Ossyan i nieznani z nazwiska śpiewacy Sag północnych, te najwierniejsze odbicia swoich narodów i czasów,—ich tak nikt śpiewać nie uczył, jak nie uczono leśnego ptastwa; Homera była mistrzynią natura, nie znał on żadnej szkoły a nie marzyło mu się o tem, że szkół naszych i tylu uczniów będzie postrachem. Uznając jego wielkość, mimowoli na myśl przychodzi różnica między nim a jego naśladowcami.

Lecz tu zaliczam także całą dawniejszą literaturę nadobną, poematy, dramaty, powieści. Tu należy Tasso i Petrarka i Rej z Nagłowic i Kochanowski.

VI. Pod względem *teatru* rachując tu nietylko zapomniany już dawny starożytny grecki, ale i tragedją, dramat i komedje nowoczesne, szlachetne jak je aż po nasze czasy przedstawiano.

VII. Co do *ogrodów* wymieniam parki angielskie, które są właściwie tylko piękną i upiększoną naturą i staroświeckie warzywne ogrodki, tak zwane wirydarze z naturalnemi grządkami swemi, rabatkami kwiatów opasanemi.

VIII. *Stroje* wreszcie wszystkie oryginalne i autentyczne, wszystkich czasów, narodów i stanów aż do początku rewolucji francuskiej.

Jako drugą wielką klasę wymieniłbym

B. *Sztuką dla sztuki, subjektywną, podmiotową.*

Jej oznaką przedewszystkiem pewna duma, dążąca do technicznej doskonałości, a za to mniejsza wybredność w wyborze treści, brak natchnienia, wyższego namaszczenia, hołdowanie praktycznym, często wcale nie górnolotnym celom, wszystko to szumnym pokryte frazesem, że «*Sztuka sama dla siebie jest celem.*» Kto zaś sztukę naiwną wolał nazwać idealną, ten musi oddział, o którym obecnie mówimy, mianować sztuką realną, bo tu indywidualność mistrza uległa przewadze materji, tj. zewnętrznych stosunków. Sztuka dla sztuki hołduje zwykle realizmowi, bywa jednak, że dla pozyskania pola do okazania technicznej biegłości przerzuca się w nieokiełznaną fantastyczność.

Jasną jest rzeczą, że nieraz trudno granicę między obu temi kategorjami oznaczyć. Również po wszystkie czasy się zdarzało, że i najsławniejsi mistrze uwzględniając stosunki i różne żądania tworzyli dzieła do drugiej grupy należące.

Łatwo pojąć, iż przy artystycznej doskonałości swojej, utwory takie tem większej używają sławy, gdy niepodobna się ciągle w samych tylko wyższych unosić regionach, a to co codzienne i powszednie usposobienie ma na oku, tem bardziej liczniejszą publiczność przyciąga. O pewnych znakomitych działach, które pod tę ogólną drugą kategorją podciągnęlismy będzie tu wzmianka przy właściwych rodzajach sztuk pięknych. Przejdźmy więc do szczegółów.

I. *W architekturze* napotyka się na bezmyślny eklektycyzm, na dowolne mięszanie stylów ze sobą. Nie mówimy tu o kilkakrotnie wspomnianem już zaczęciu jakiego sławnego gmachu za panowania jednego, a o skończeniu go za panowania drugiego stylu, albo o budowlach z czasu przejścia jednego stylu w drugi. Również nieraz daje się widzieć, że obrano styl pewien żadnego związku z przeznaczeniem gmachu nie mający. Rażącemi są chrześcjańskie kościoły greckie świątynie naśladujące, gotyckie fabryki papierowe, maurytańskie dworki szlacheckie w Polsce, romańskie i bizantyńskie banhofy. Straszną była manja, która już przecież minęła, stawiania po ogrodach nowych ruin greckich i nowych gruzów zamków rycerskich. Osobliwszą jest die Schlackenburg w Czeskich Teplicach, z samych kamionek z wód mineralnych zbudowana. Tu należą wreszcie wszystkie pretensjonalne i zdobnie stawiane domy bez stylu żadnego.

II. *W rzeźbie* wypadnie do tej kategorji zaliczyć wszystkie dzieła wielkich mistrzów z czasów renesansu przedstawiające przedmioty mitologiczne, bo one wewnętrznej prawdy w sobie nie mają i chociaż oryginalne utwory, są przecież niejako tylko naśladownictwemm starożytnej sztuki, są sztuką dla sztuki. Toż samo przedstawianie na pomnikach saskich i innych monarchów, Napoleona I. księcia Józefa Poniatowskiego itp. jako starożytnych stajennych, konie pławić jadących .Nie do pojęcia, że Thorwaldsen i Canova w ten sposób także tworzyli. Leżąca naga statua portretowa Pauliny Borghese, siostry Napoleona i jego samego stojąca brązowa statua tegoż rodzaju, to już podobno nec plus ultra w tej mierze, chyba że się da pierwszeństwo olejnemu obrazowi przedstawiającemu nagie portretowe postacie całej familji Medyceuszów, kąpiących się w morzu niby bogi i boginie morskie!

III. *W malarstwie* i jemu spokrewnionych działach naśladowanie, reprodukcja natury wspaniałe stworzyła oddziały. Przedewszystkiem wymienić tu należy:

Portrety (niejako przez Rzymian, jako marmurowe portretowe biusty wynalezione). Chociaż wierne skopjowanie pewnejdanej twarzy, już dla samego swego charakteru nie może uchodzić za najwyższe zadanie malarstwa, przecież trudno zaprzeczyć, że odtworzenie wizerunku sławnych i wielkich ludzi, z oddaniem ich, że tak powiem strony duchowej, stanowi już niejako przejście do historycznego malarstwa. Dlatego też najpierwsi mistrze w tak szerokich rozmiarach portretowaniem się trudnili i tak wielkie w tej mierze zostawili dzieła.

Krajobraz jako wizerunek pewnej okolicy, zbliża się swą naturą do portretu. Oczywiście sztuka dla sztuki podniosła i uszlachetniła pejzaż. Poddziałami tutaj: *Efekta światła. drzewa, morskie widoki* (marina), *widoki miast* (veduta) architektoniczne *perspektywy, wnętrza* (z kościołów, pałaców), do tego dodać *martwą naturę, kwiaty, zwierzęta, konie.*

Połączeniem zaś tych wszystkich poddziałów jest *Malarstwo rodzajowe* (Genre) owe czarujące portretowanie życia ludowego i scen pojedyńczych. Trudno tu nie wspomnieć mistrzów w tej mierze, Flamandów.

Dodajmy tu jeszcze przedstawienie oficjalnych uroczystości ze ślepem oddaniem miejsc, osób mundurów i *płody fantazji:* malowanie djabłów, strachów, (sławny w tem Hoellen Breughel).

Widzenia ściętej głowy to podobno fiksacja. Przez Francuzów wprowadzone patologicznie wierne oddawanie traceń na rusztowaniu, trupów, konania itd. jedynie, aby przerazić widza nazwałbym «splugawieniem sztuki,» a tak zwany Impressionalizm czyli przedstawienie rzeczy jak one nam się prezentują to szarlatanerja, która wnet pójdzie w zapomnienie.

IV. *W muzyce* stosunkowo większe jeszcze niż w malarstwie osiągnięto rezultaty. Boć wielka opera i opera komiczna, a zatem co szczytem w tej mierze, niezawodnie jest sztuką dla sztuki i muzyka posługuje się w nich tylko poezją dramatyczną, teatrem, świetnością dekoracji, baletem itd. Jakby na dowód, że w naszych czasach koniec już szlachetnej twórczości, bo ani nowego stylu architektonicznego wymyślić nie umiemy, ani o wielkich poetach nie słychać, a w malarstwie powstają szkoły, które psychiarchom do myślenia dają, tak i w muzyce Ofenbach stworzył nowy rodzaj, który nietylko ogromny poklask sobie zjednał, ale i wielu naśladowców. Operetka zdaje mi się być upadkiem muzyki, muzyką nihilizmu. Nie przeczę, że w niej są niektóre milutkie kawałki nawet w operetkach Jana Strausa z samych tylko walców złożonych, ale to piękność podobna do owej, którą rozpusta posiadać musi, bo by zamiast przywabić odrażała, lecz jestże to istotną pięknością?

V. *W literaturze* gorzej jeszcze się dzieje. Gdyż tu obok poważnego i pełnego godności naśladowania starożytnej literatury,

tak zwanego klasycyzmu, a zatem Kornela i Rasyna, ód i satyr, Henryady Woltera, a Oblubienicy z Messyny Szyllera i Ifigenii Goethego należy jeszcze każde igranie i baraszkowanie. Tu więc należą wszystkie bezrozumne płody fantazji np. owe warjackie romanse rycerskie, ckliwe obrazy pasterskie, opowiadania Boccacia, wszystkie niemoralne romanse francuskkie ze swym wykwintem, to jest policyjno-kryminalnemi powieściami, niemniej poezje fantastyczne, opowiadania o czarach i czarownicach, wreszcie romanse P. Pons du Terrail jak ow o mężczyźnie, który był niby kobietą, gdyż ojciec syna sobie był życzył, a matka córki, był to więc syn ale niby córka! albo ten drugi, w ktorym pan jeden co nos utracił w pojedynku, a takowy mu dorobiono z ciała Auvergnata (włościanina z Auvergne do Paryża dla zarobku przybyłego), jest z tymże człowiekiem połączony fizycznie i moralnie! Tu rachuję i ckliwe pieśni czułostkowe i szkaradne wrażenia z podróży Heinego, i najnowszego sławnego autora romansu Nana. Lecz o tym ostatnim nie powiedziałbym już: sztuka dla sztuki, lecz raczej, że on dowodzi, iż są tacy, co dla miłego grosza chętnie się spodlą.

VI. Z *teatrem* oczywiście to samo się dzieje, co z literaturą, bo on z nią organicznie połączony.

Oprócz wielkiej opery, opery komicznej, a niestety i operetki, o których juz wyżej wspomniałem, mamy tu do wymienienia balet, który jako intermezzo w operze, divertissement, może być przyjemnym, ale jako «sztuka dla sztuki» z cyrkiem zdaje mi się ma podobieństwo i jeszcze dwie smutne nowości. Jedną z nich są owe niby tak zwane sztuki ludowe, niby to współczesne wizerunki, ramoty o szumnym tytule, zawierające mnóstwo konceptów i arlekinad, a czasem nawet logicznego związku a nigdy najmniejszej wartości literackiej, ani dramatycznej nie mające, Drugich zaś celem jest świetność wystawy, a więc tu oprócz baletow czarodziejskich należą owe nowo nastałe sztuki jak np. «w 40 dni w koło świata,» albo «carski kuryer pędzący na Sybir,» przy których niewiedzieć co bardziej podziwiać: wspaniałość dekoracji, doskonałość maszynerji, czy głupotę publiczności, co dzień na te spektakle biegnącej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DO MOICH SĄSIADÓW.

(„Le voisin.“)

Czyja to jest wina, czyja,
Że choć mam proboszczem stryja,
A szarytką siostrę,
Choć na skruchę wciąż się zbieram, —
A bez pustot... no — umieram!.
Lubię smaki ostre...
Z niemi jakoś idzie gładko
Życie, chociaż w biedzie!..
Djabeł nie śpi!.. Ha?.. Sąsiadko?..
Prawda, że z nim idzie gładko?..
Djabeł nie spi!.. Co?.. Sąsiedzie?..
Zawsze sobie naprzód jedzie?...

Nasz pan doktór medycyny
Robi na nas kwaśne miny...
Wiecznie gderze, zrzędzi...
Mówi: „wino i swawola
„Spędzą was przedwcześnie z pola
„Do grobu krawędzi!..“
Fi, ten doktor!.. z brzydką łatką
Nas do nieba wiedzie!..
Fi, ten doktor! Ha?., Sąsiadko?..
Zdobi nas niepiękną łatką?..
Fi, ten doktor!.. Co? Sąsiedzie?..
Któż tak wcześnie, tam gdzieś jedzie?..

Znacie Franię!.. Bardzo miła!..
Lecz w tych czasach coś utyła...
Nie wiem, co to znaczy?..
Ona mówi: „To sznurówka
„Zaobszerna“... Wszak wymówka
Dobrze rzecz tłomaczy?..
Biedna Frania!.. Bardzo gładko
Wymija się w biedzie?..
Mądre dziewczę!.. Ha? Sąsiadko?..
Wszak tłumaczy się dość gładko?..
Sprytne dziecko!.. Co?.. Sąsiedzie?..
Czy daleko z tem pojedzie?..

Śliczna pani Antonina
Dziś wydała na świat syna...
(Mąż — stary Harpagon)...
Mówią: „to artylerzysta...“
Inni mówią: „to gwardzista“...
A ja mówię: dragon!..
Dojdźże prawdy z taką matką!..
Zkąd synaczka wiedzie?..
Jak tu zgadnąć?.. Ha!.. Sąsiadko?..
Z taką militarną matką?..
Jak tu trafić?.. Co?.. Sąsiedzie?..
Zkąd jej synek na świat jedzie?..

Prawie świętą mam kuzynkę,
Tak pobożną stroi minkę
I tak srodze pości!..
Do lepszego wzdycha świata...
I u siebie — nad Prałata
Nie chce innych gości!..
Prawda — że post idzie gładko —
Dobre jada śledzie!..
Co to znaczy?.. Ha?.. Sąsiadko?..
Że z prałatem pościć gładko?..
Jak ty sądzisz?.. Co?.. Sąsiedzie?..
On ją wprost do Nieba wiedzie?..

Znam ja pewną tu artystkę —
Tak, podrzędną operzystkę...
Biedna jest dziś chorą:
Cug ją obwiał z drzwi kryjomych...
Bo — dla celów... niewiadomych
Ma ich aż sześcioro...
Ale z drzwi tych — jest magnatką,
Życie pyszne wiedzie...
Czyż nie sztuka?.. Ha!.. Sąsiadko?..
Ze drzwi sobie być magnatką?..
Szczęście szczęściem!.. Co?.. Sąsiedzie?!.
Choć skrytemi drzwiami jedzie?..

Jak to przykro, że kwiat róży
Tak niedługo wonią służy
A kolcami długo!..
Jak to smutno, że miłości
Trzeba zrzec się przy starości
I być chorób sługą?..
Achu!.. Achu!.. Z swą czeladką
Kaszel w łóżko wiedzie!..
Brzydka sprawa!.. Co?.. Sąsiadko?..
Ten kaszelek wraz z czeladką?..
Achu!. Achu!.. Ha?.. Sąsiadko?..
Dokąd to z tem człowiek jedzie?..

Ale nas to nie obchodzi,
Bośmy jeszcze tędzy, młodzi...
Cóż tam pięćdziesiątka!..
To nam uciech nie umniejsza!..
Ho!! Przed nami młódź dzisiejsza
Schowa się do kątka!..
Jeszcze my się z śmiercią matką
Poprobujem w biedzie!..
Czyż nieprawda?.. Ha?.. Sąsiadko?..
Będziem walczyć z śmiercią-matką?..
Myśmy młodzi?.. Co?.. Sąsiedzie?..
Czyliż takich śmierć dojedzie?..

Z Berangera, **L. Kozłowski.**

PRZYSZEDŁ WĘGIER.

NOWELLA

MICHAŁA WOŁOWSKIEGO.

Hej ptaku! co z pierwszym pożółkłym listkiem biegniesz za siódmą górę i rzekę dziesiątą, a z pierwszą zieloną trawką, ze szczątkami śniegu na skrzydłach, powracasz z tych zamorskich krain, aby dalej pilnować swego gniazda, uczyć swą dziatwę poczciwego klekotu, z którym zrośliśmy się tak bardzo, ileż ty pięknych a tęsknych mógłbyś nam opowiedzieć historyj!

Prócz śniegu, na tych samych skrzydłach twoich niosłeś zawsze na brzegi Wisły, Pełtwi, Niewiaży, Smotrycy, Pilicy tysiące dobych wieści, nadziei, westchnień tych, którym prócz westchnień niewiele pozostało na ziemi. Ciągnąłeś, niby przednia straż tych wszystkich rojeń pięknych, które smutna rzeczywistość rozwiewała tak szybko, jak gorące promienie słońca rozwiewają pary wodne letniego poranku.

A i na cóż to się jednak zdało? Tyś wracał do gniazda, rojenia snuły się dalej nieprzerwaną przędzą, rzeczywistość smutna robiła swoje, a przecież z zielenią gajów, z uśmiechem wiosny zawsze działo się toż samo.

A ot! jeden z tych cudownych poranków wiosennych. Nie widzisz nic. Nad tobą i w koło ciebie pary wód, woniejące zapachem świeżym wyglądającego z pod ziemi ciekawie kwiecia, świergot czasem jakiś niewyraźny dochodzi uszów twoich, ale po za sobą i w sobie czujesz spokój niezmierzony, który cię ubezwładnia. Wytężasz wzrok, chciałbyś przeniknąć zasłonę, która ci kryje jeden z najpiękniejszych może szmatów twej ziemi. Czekasz.

Poranek to wiosenny taki, jakich u nas tysiące, podobnych jeden do drugiego, przepełnionych balsamiczną wonią i nadziejami na jutro. Tych ostatnich w poranku, o którym piszę, więcej było może. Czy burzę czuć było w powietrzu — nie wiem. Ale to pewna, że czyś ujrzał wieśniaka na zagonie, czy dziewkę przy kołowrotku, czy oracza na skibie, czy zucha na koniu w taki poranek wiosenny, toś widział jak każdy usta szeroko otwierał i całą piersią wiosenne zapachy wdychał. Wiosnę tę dzieje zapisały najhaniebniejszym czynem — plamą, którą po wieki wieków nosić na sobie będą Szela i Meternich.

Ot mgła opada. Na horyzoncie widzisz dwa punkty czarne, malutkie, jeden het wysoko, aż pod niebiosami, drugi niby mrówka na ziemi. W niebiosach — bocian, na ziemi — człowiek. I jeden i drugi spieszą nad wody Sanu, który szemrząc gwałtownie, myje listki kaliny otaczającej jego brzegi. I ptak i człowiek rysują ci się coraz wyraźniej.

Ptaka, to pewno gdzie spotkasz jeszcze, ale człowiek, temu to warto się przypatrzeć. Silny a młody, wyrosły niby dębczak, twarz ma bladą, od czasu do czasu rumieniec się na niej pokaże, i zniknie, oczy żywe, czoło wysokie, włosy jasne, przystrzyżone krótko, na głowie słowacka czapka, buty juchtowe, wysokie na nogach, węgierska kurtka na grzbiecie, w ręku kij z góralskim toporkiem, a na plecach tobołek duży, owinięty w szare płótno i przymocowany rzemieniem do ramion.

Ach! wszakże to nasz znajomy, to węgier. Idzie z całym swoim kramem od wioski do wioski, od dworku do dworku, przystaje wszędzie, zdejmuje ze sklepu szare płótno, przekłada towar, pokazuje cudownych rzeczy mnóstwo i zawsze skusi, abyś coś od niego kupił. To dobry przyjaciel naszej wioski, znajomy, a popatrzcie jaki zuch tęgi. Jeżeli Węgry samych takich rodzą synów, to nic dziwnego, że tam u nich hardo a ostro.

Ale to dziwny jakiś Węgier. Zaszedł w sanocką ziemię rankiem, wszedł w dolinę Sanu, gdzie lud najbiedniejszy, gdzie ze łzą częściej się spotyka, aniżeli z uśmiechem i gdzie najmniej może miał szans korzystnego sprzedania swoich towarów. No, ale często bywają dziwni Węgrzy. I ten stanął wśród pola na wzgórzu, z którego w oddali rysował się dworek biały i kilkanaście nizkich chat w otoczeniu drzew zieleni. Stanął, zdjął czapkę z głowy, ręce oparł na kiju, głębokim wzrokiem swoim z całą mocą wpatrywać się począł w te białe ściany, w te kurne chaty, w ten San szemrzący i w tę rozmarzoną dolinę nad jego brzegiem.

Dziwny węgier, on płacze... Ukląkł, potem kij odrzucił i ucałował kamień duży, co przy drodze leżał. Ale szybko się wnet podniósł, oczy rękawem otarł, tobołek na plecach poprawił i nucąc jakąś słowacką piosenkę, ku wsi podążył! Tam już gospodarne kogutki odpiały swoją poranną nutę, zrywało się wszystko na nogi, a choć to była niedziela, to już człowiek włożony w jarzmo pracy, przywykł do tej komendy koguciej i zwyczaju rannego wstawania nie przekroczył.

Węgier szedł, oglądał się, zastanawiał, jakby przypominając sobie coś z przeszłości i wyglądał na człowieka, który nie po raz pierwszy te strony odwiedzał. Przy pierwszej zaraz chacie spotkał tuż obok wrót czarnobrewe dziewczę. Wyszczerzyła do niego ząbki, pomyślała coś chwilkę i krzyknęła dość głośno:

— Matulu, matulu! przyszedł węgier.

«Przyszedł węgier!» zabrzmiało w powietrzu, przeniosło się do chaty następnej, do karczmy co stała na środku wsi, tuż wprost maleńkiej cerkiewki i zawędrowalo aż na sam koniec wioski. Węgier się jednak nie zatrzymał; no, rzecz prosta. Handel swój rozpocząć musiał od miejsca, w którem najwięcej spodziewał się utargować — od dworu. Tam też szedł prosto, a im bliżej był białego dworku, tem większe stawiał kroki, tem mu pilniej było.

Stanął nareszcie tuż przed gankiem i... nie poszedł dalej. Na ganku, w fotelu wygodnym siedziała staruszka z pończoszką, a drutami w ręku, machinalnie nadziewając na nie oczka pończochy. Po prawej jej stronie jasnowłose dziewczę lat może szesnastu, śliczne niby pączek rozwijającego się kwiatu, a tuż za nią młode pacholę o bystrem rozumnem spojrzeniu, ciekawie wpatrujące się w przybyłego. We drzwiach wchodowych dworku ukazała się wreszcie trzecia postać kobieca, lat średnich, z widocznym smutkiem rozlanym na twarzy, a po za nią, ogorzała i ocieniona sumiastym wąsem, twarz mężczyzny.

Węgier coś siły stracił, dalej iść nie mógł, przełykał tylko coś w gardle, może kurz, kurzu tyle na drodze...

W towarzystwie, co na ganku zasiadało do kawy, także zapanowało jakieś milczenie. Jasnowłose dziewczę wypuściło z rąk niesioną do ust filiżankę, pacholę zerwało się z miejsca i stanęło, niemym wzrokiem spoglądając na matkę, która wraz z mężczyzną, jakby przerażona cofnęła się w tył, jedna staruszka przyłożyła dłoń do oczów i przyglądała się stojącemu przed domem Węgrowi.

Oczy stare, co na wiele smutnych rzeczy musiały patrzeć, widzą gorzej od oczu młodych, a i serc młodych.

— Cóż to! zdaleka węgier przychodzi? zawołała staruszka łagodnym tonem.

— O daleko sem, bo aż od Debreczyna, odparł węgier, ale takim jakimś dziwnym głosem, że nawet i stare oczy niespokojnie obejrzały się dokoła.

Z folwarku i z chat pobliskich poczęli się już ludzie gromadzić tłumnie; na przystojnego węgra patrzyli badawczo, węgier to spostrzegł, bo odchrząknął i tobołek poprawił, otrząsł się, jakby z jakiegoś wrażenia i zaczął zachwalać swój towar.

— Do sem państwo, proszę, kupujcie, mam towar piękny, sprzedaję nie drogo, chustki ładne, korale czerwone, zapinki, obrazki prześliczne, grzebienie... I cała litanja rozmaitych przedmiotów szybko posypała się z ust wędrownego kramarza.

Czarno ubrana kobieta w ganku, schwyciła się za serce, spojrzała po otoczeniu, palec do ust podniosła i prawie z nadludzkiem wysileniem szepnęła:

— Dobrze mój chłopce, żeś przyszedł. I Zosia i ja i Tadzio rozbijemy twój sklep wędrowny, chodźcie tam do środka. I wskazała przybyłemu drzwi, przez które wchodziło się do dworku.

Za węgrem do dworku weszła tylko czarno ubrana niewiasta i towarzyszący jej mężczyzna. W pokoju znaleźli się sami. Mężczyzna zakręcił klucz we drzwiach, a węgier zrzucił tobołek z pleców, jednym gwałownym ruchem ukląkł u nóg kobiety i szepnął:

— Błogosław matko.

— Stasiu! Stasieczku! gdzie idziesz? Co robisz? Po coś tu przyszedł? wołała całując gwałtownie i obejmując rękami głowę przybysza matka.

Długo mniemany węgier jednak do słow przyjść nie mógł, bo mu pieszczoty matczyne mówić nie pozwalały.

— Siostro, zlituj się, ludzie zobaczyć mogą, życie takie niepewne dzisiaj, pozwól mu mówić, przerwał nareszcie mężczyzna.

Węgier podniósł się z ziemi, raz jeszcze gorąco całując rękę matki, szepnął:

— Tak długo grzeszyliśmy, mamo, trzeba pokuty.

— Jakiej pokuty?

— W pracy dla tych, których przez wieki za ludzi uznać niemieliśmy odwagi.

— Stasiu, ty idziesz na śmierć! Bóg takiej pracy nie nakazał. On mi cię zabierze. Ja nie chcę, nie pozwalam.

— Próżno, mateczko droga; zakaż jaskółce, aby nie szybowała po powietrzu, rybie, aby nie płynęła w wodzie, mnie, abym nie pracował dla tego mojego ludu, który dlatego może był złym, że był ciemnym. Opłacz mię matko, błogosław, ale takiej pracy nie zakazuj. Lat temu dziesięć wysłałaś mię do Paryża, abym tam zdobył światło, zdobyłem, — przejrzałem i przychodzę oddać je tym, których kocham. To moje niezmienne postanowienie.

— Ależ ten strój, ten tłomok?

— To są znaki mojego apostolstwa; pójdę z niemi dalej i opowiadać będę prawdę, której chcę być kapłanem. Powiem m, jak ich kocham, jak oni kochać powinni. To moje ostatnie słowo. Błogosław matko.

A mówił to z takiem namaszczeniem, z taką siłą i energją, że matka zrozumiała, iż próżnemiby były jej słowa. Łzy tylko pobiegły jej z oblicza, ręce wyciągnęła po nad głową wędrownika, który znów przykląkł i szepnęła cicho:

— Niechaj cię Bóg błogosławi i duch ojca niechaj ci towarzyszy wszędzie. Taka to smutna kolej losów naszych, ja wiem, żeś ty już dla mnie stracony!

— A nie uściśniesz siostry, brata, babki? szepnął mężczyzna.

— Na co? i po co? Noszę ich w sercu, kocham i bez całusów. W naszej kramarskiej wędrówce, wierzcie mi, to tak niedobrze się rozczulać. Bez twego krzyżyka, matko, iść nie śmiałem, ale oni? cóż oni wobec idei?

Matka szybko zakryła usta mówiącemu i zawołała:

— Nie mów tak, nie mów! Ja cię rozumiem, ale mnie to boli.

— Otwórz stryju drzwi, niechaj przyjdą ci, co z mojego tobołka zechcą zaopatrzyć potrzeby swoje.

Drzwi się rozwarły. Cała gromadka z przed ganku weszła do pokoju, w którym węgier rozkładał swoje towary. Już widocznie zapominał i o tem dziwnem uczuciu, które dusiło go w gardle, i o tem błogosławieństwie matki, i tajemniczej rozmowie, bo słowa płynęły mu z ust szybko, łamaną polszczyzną, zachęcające do nabycia przeróżnych towarów. Towarzystwo z przed ganku milczało, on mówił za wszystkich.

— Oto chustka, a jaka piękna chustka, taką samą na szyi miał człowiek wielki, którego świat cały cenił i wielbił. Chodził w białej sukmanie. niby chłop prosty, a kraj swój nadewszystko miłował. Żołnierzy miał siła, wszystko tęgie chłopy jak ulał, a kiedy huknął naprzód, to lazły na armaty jak muchy.

Dziwna rzecz, w tobołku węgra, każdy przedmiot miał taką swoją historją. Opowieści tych słuchała babcia i jasnowłose dziewczę i młode pacholę, niemym wzrokiem wpatrując się w mówiącego, który każde opowiadanie kończył. «Kupić nie kupić, a posłuchać warto». Grzebień uczył historji Napoleona, spinki zygmuntowskie przypominały czasy, pończochy opowiadały o zepsuciu końca ośmnastego wieku, a książki, książeczki, obrazki święte i nie święte, mówiły o tem, jak to potrzeba na świecie zgody pana z chłopem, jak Pan Bóg w niebie do szeregu rychtuje jednych i drugich pospołem, jak już na świecie każdy sobie równy, czy się w chacie, czy w pałacu urodził.

Oj nie spisałbym, nie spisał wszystkich tych historyj ładnych, które węgier jakby z nut opowiadał. Ludzie co się zeszli, oglądali przedmioty, kupowali je, ale więcej ich zajmowała twarz węgra, ozdobiona rumieńcem i błyszczące oczy ogniem zapału. I wypowiedział tak węgier wiele, aż dobił się do końca tobołka i nazad towary układać zaczął.

W gromadce, prócz tych, których już eśmy poznali, znalazło się także śliczne dziewczę, które z folwarku wraz z innemi wiedzione ciekawością tu przyszło. Była to śliczna Paraska, przedmiot, westchnień wioskowej kawalerji, dumna i nieprzystępna a zawodząca piosnki o chłopcu, co na koniku wronym ze świa tów dalekich przybywa, co jest śliczny niby gwiazdy na niebie, i co z sobą zabiera serce. Zwali ją w wiosce dumną, choć dumna nie była.

Wszyscy słuchali węgra, kiedy mówił, lub podziwiali jego towar, ona jedna nie mogła usiedzieć na miejscu, kręciła się tam i sam po pokoju, coraz pilniej, a baczniej spoglądała w oczy przybyłemu, i widać było pewną niecierpliwość w jej ruchach i całym nastroju, jakby koniecznie chciała mówiącego co najśpieszniej ztąd wyprowadzić.

Węgier skończył, szarem płótnem owinął znów tobołek, na plecy go znów zarzucił, siekierę w dłoń ujął, jeszcze raz długim, przeciągłym wzrokiem spojrzał się po ścianach i otoczeniu i ku drzwiom sunął. Nawet szczekanie psów nie odprowadziło go do bramy, ale odprowadziła Paraska.

Już wyszli za wrota, Paraska obejrzała się dokoła i podbiegając do węgra, trąciła go w łokieć, szepcząc boleśnie: Paniczu!

Węgier się obejrzał, drgnął cały i spytał spokojnie.

— A wy sem czego chcecie!

— Ach! Paniczu złoteńki, serceż ty ukochane moje, jakże mnie ciebie nie było poznać! Oszukaj innych, nie mnie, co od dziecka przez długie lata patrzyłam w oczy twoje, com wypłakała nockę niejedną, gdy mi starsza pani o was mówiła. Po co wy tutaj, gołąbku mój? we wsi źle się dzieje, ludzi złych siła, a Wojtek, co łońskiego roku przyszedł od wojaków, takie straszne opowiada rzeczy, co aż serce ściska, ludzie go słuchają i wierzą. Uciekajcie paniuczu, uciekajcie, tu niedobrze wam będzie, tu co złego wam stać się może.

Węgier przystanął, spojrzał w oczy mówiącej i snać dwa dyamenty zawieszone na jej rzęsach pomieszały mu pamięć, bo już dyalekt słowacki porzucił i chwyciwszy za ramię dziewczynę zawołał:

— Idź Parasko do domu, nie mów kto jestem, Wojtek źle mówi, ja wiem o tem, i dlatego tu przyszedłem, aby ludziom otworzyć oczy na jego opowiadanie.

I pociągnął dalej.

Na oczach dziewczyny zabłysło więcej dyamentów takich, ale węgier już się po za siebie nie oglądał. Spojrzał w górę, bujał nad nim bocian, może ten sam, który w tumanie par wiosennych wraz z nim się ukazał. Poszybował nad cerkiewkę, gdzie nad dzwonnicą stare widniało gniazdo, usiadł na niem, obejrzał się na około i po swojemu zaklekotał.

— Pójdźmy zanim, szepnął wędrowny kramarz.

I usiadł tuż pod parkanem cerkiewki, tobołek złożył na ziemi, z kieszeni wyciągnął chleb i kawał sera i począł go jeść z apetytem. Do cerkwi lud schodził się na modlitwę. Kazania długiego wysłuchał, pokłonów tysiące Bogu oddał i jak zwykle w niedzielę ruszył do karczmy. Węgier towarzyszył mu w modlitwie, a że jak zwykle w karczmie w święto, ludu gromadzi się wiele, przeto, gdy muzyka zagrała, gdy podkówkami dziarskie zuchy dzwoniąc hulać po muzyce zaczęli, znów ze swoim towarem do tego przybytku uciechy wkroczył.

— Przyszedł węgier, ozwało się od drzwi.

Na to magiczne słowo ucichła muzyka, zatrzymały się pary, a dziewki wołać poczęły:

— A węgier! Pokażcie, panie węgier, co macie tam na plecach?

Chłopaki uśmiechali się pod wąsem, w nadziei, że zdołają prezentami zakupionemi u węgra, zadowolnić serca swych ukochanych, a węgier tymczasem z ochotą, nie pytając o nic, zgrabnie i szybko tobołek swój rozwijać począł.

Jedna tylko dziwna postać od ściany nie dzieliła radości ogólnej. Był to chłop, ubrany jak inni, ale na twarzy jego odgadłeś odrazu tyle sprytu, tyle piekielnej złości, ile daremnie gdzieindziej byś szukał. Ludzie go zwali Wojtkiem. Służył długo w austryackim pułku, dosłużył się nawet podobno stopnia kaprala, i z trzosem nabitym dukatami powrócił później do rodzinnej wioski. Robił mało, nic prawie, ale gadał za to za wszystkich, a gadał tak strasznie o lisach i pasowyskach, że poczciwym krew w żyłach się ścinała, a żądnym lepszego bytu i chleba roić się poczęły straszne zamiary, których podstawą chciwość.

Rozepchnął tych, co otoczyli stół, na którym węgier swe towary rozłożył, ręce w tył pod sukmanę wsunął, twarz wykrzywioną i brzydką wyrazem dzikim, odsłonił zdejmując kapelusz i tuż wprost węgra stanął.

Śpiącego często przebudza wzrok ludzki. Węgier jeszcze nie zdołał oderwać oczów od swego towaru, a już drgnął uczuwszy na sobie wzrok jadowitej żmii; ale wnet to wrażenie zrzucił z siebie i jasne, a spokojne oko swoje podniósł na tego, którego przeczuł. Skrzyżowały się tedy dwa spojrzenia. Wojtek nie przestawał się wpatrywać w przybyłego. Dziewki oglądały korale, chłopcy chustki, a węgier zaczął:

— Oto chustka, a jaka piękna chustka, taką samą na szyi miał człowiek wielki, którego cały świat czcił i wielbił. Chodził on w białej sukmanie niby chłop prosty, a kraj swój nadewszystko miłował. Żołnierzy miał siła, wszystko tęgie chłopy jak ulał, a kiedy huknął «naprzód», to lazły na armaty jak muchy.

Wojtek syknął przez zęby.

— A to ci dziwny jakiś węgier. A zkądeście to?

— Od Debreczyna, była odpowiedź.

— A niema tam panów, co chłopów wydusić pragną?

— Byli tacy, oj byli, ale już im w głowie zaświtało jaśniej, wiedzą już, że chłop to człowiek, taki jak inni i chcą im te grunta oddać, co teraz mają.

— Łżesz bestjo! zakrzyknął Wojtek. Byłem ja w Becyrku, znają tam takich ptaszków. Sakramenckie duchy. A papiery ty masz?

— Czego sem ty chcesz? odrzekł z udanym spokojem węgier.

— Nie udawaj, nie udawaj! a to cię jucho zwiążę i do Przemyśla odstawię.

Węgier brwi zmarszczył, krew w nim zagrała, odsunął gwałtownym ruchem od siebie tobołek, spojrzał naokoło, ta i owa twarz wydała mu się ciepłą, serdeczną, polską, zamało był doświadczony i roli swej do końca nie umiał. Prawą rękę tylko wsunął szybko do kieszeni węgierskiej kurtki i tak, że nikt z obecnych tego spostrzedz nie mógł, ujął w garść silnie znajdujący się tam pistolet. Następnie, wskoczył na ławkę i głosem, w którym drżała miłość i poświęcenie mówić zaczął.

— Tak, on ma rację, ja nie jestem węgrem, ja jestem waszym, chcę żyć dla was, przychodzę ze stron dalekich i niosę wam miłości słowa, prawa ludzkie, które wam się należą. Jesteśmy wszyscy obywatelami, synami jednej ziemi, kochajmy się. Niosę wam od braci starszej pozdrowienie i miłość, swobodę i ziemię...

Ale nie mógł dalej już mówić. Pierwsze jego słowa przyjęto milczeniem, następne głuchym mrukiem, aż, gdy Wojtek krzyknął:

— Hej do niego! Weźmy się ino po swojemu! To jeden z tych, co nas panom i żydom chce zaprzedać. Tłuszcza rzuciła się z pięściami.

Węgier ścisnął pistolet w ręku, już go wyjął nawet i nagle zbladły, z siniałemi usty, rzucił go na ziemię.

— Nie, kto idzie ze słowami miłości, kulą walczyć nie może.

I nie powiedział nic więcej. Ręce tych, dla których przyszedł pracować, wpiły się w jego włosy, w jego ciało. Poczęto go bić i dusić. Węgier wkrótce stracił przytomność.

Wywleczono go na ulicę wioski, tuż pod cerkiewkę, nad którą bocian klekotał i poczęto znęcać się nad bezbronnym okropnie. Nie wydał ni jęku jednego, ni skargi jednej.

Nagle tłum oprzytomniał. Wśród tłumu odezwał się głos jeden.

— O rety! O Jezu! mordują panicza.

Panicz już był zamordowany. Ale życie nie ucieka tak prędko z piersi takich. Jemu danem było raz jeszcze spojrzeć na świat, który tak ukochał, na tych ludzi dla których pracować przyszedł, a którzy pracę jego tak strasznie zapłacili, na matkę wreszcie, która przyszła jedynakowi oczy zamknąć na wieki.

Zniknęli wszyscy, nawet straszny Wojtek, czarny duch wioski, gdzieś zniknął, gdy z rozwianym włosem i ze szlochem przybiegła do konającego matka.

— Stasiu, Stasieczku, wołała ocierając rękami swemi błoto, jakiem obrzuciła jej syna tłuszcza.

— Matko, szepnął umierający.

— Widzisz, nie usłuchałeś matki, chciałeś pracować dla nich, a czy zrozumieli cię oni?

— Bo jeszcze czas matko, zrozumieją — zrozumieją kiedyś, później, to nie jedno jeszcze takie życie pójdzie na marne, ale z niego kłos obfity wyrośnie. Błogosław syna matko, on dobrze umiera.

Nagle, bocian na cerkiewce znów klekotać począł, zatrzepotał skrzydłami i pod chmury uleciał.

Konający drgnął raz jeszcze, z wysiłkiem się podniósł i do matki szepnął:

— Matko! słuchaj. Jaki ja szczęśliwy jestem.

Matka wytężyła słuch, a o jej uszy obiła się słowacka piosenka z tego samego dźwięku i tonu, jaką słyszeliśmy rankiem z ust konającego.

I znów z zachodu szedł węgier, taki młody jak ten, co pod cerkiewką skonał, znów bocian nad jego szybował głową, znów ukląkł, aby ucałować kamień rodzinnej ziemi i kto wie, może znów skonać jak tamten.

A jednak szedł węgier naprzód i z tą samą radością z końca w koniec wioski rozlegały się słowa:
— Matulu! przyszedł węgier.

WIOSNA I JESIEŃ.

(„Le printemps et l'automne").

Wszystko ma swą kolej w świecie —
Jest na wszystko pora...
Posłuchajcie, jeźli chcecie,
To wam powiem o sekrecie —
(Mam go od doktora):
Wszelkie kwiaty kwitną wiosną;
Więc — tęschnotę swą miłosną
Ku tej porze mierz;
W życiodawczej zaś jesieni,
Kiedy wino się rumieni, —
Pij go, ile chcesz, —
Ale, bratku, w Maju,
Wara od Tokaju:
Niedobrze!..
Tak jak od miłości
Wara Jegomości
W Oktobrze!..

Gdyby razem można łączyć
Wino i kochanie:
Butelinę sobie sączyć,
A z kupidem też nie kończyć, —
Cóżby chcieć, Mospanie!..
Lecz w mej głowie (snać w zakątku)
Odrobina jest rozsądku,
Który mówi tak:
Wszystko ma swój ład na świecie:
Tyś — nie burzycielem przecie,
By mu iść na wspak!..
Więc — pamiętaj: w Maju
Wara od Tokaju:
Niedobrze!..
A zaś od miłości
Wara Jegomości
W Oktobrze!..

Pomnę — kiedym poznał Rózię, —
Działo się to w Maju...
Śnieżuteńką miała buzię,
Śliczne oczka, drobną nózię...
Słowem — przedsmak raju!..
Lecz, gdy potem się odkryło,
Że niemiłych mnóstwo było
W ślicznym nosku much,
Których nikt i nic nie zmieni, —
Więc nieprędzej, jak w jesieni
Wstąpił we mnie duch...
Bom rzekł sobie: w Maju
Wara od Tokaju:
Niedobrze!..
Zaś od tej miłości,
Wara Jegomości
W Oktobrze!..

Mam znow przyjaciółkę wielką,
Z którą wciąż się kłócę;
Z czarnooką mą Adelką
Często zrywam przyjaźń wszelką...
Lecz się tem nie smucę:
Bo, gdy zerwę z nią w jesieni, —
Skoro Maj się zazieleni, —
Zgoda kwitnie znów...
I w perjodzie naszej kłótni,
Choć markotno, — ale smutni
Nie spuszczamy głów...
Bo myślimy: w Maju
Zdala od Tokaju:
Niedobrze!..
A zaś od miłości
Bądźcie w ostrożności
W Oktobrze!..

Lecz jest czarodziejka pewna,
Która swem skinieniem
Rządzić może jak królewna...
I, niby Syrena śpiewna,
Czary siać spojrzeniem...
Ta, gdy zechce, wszystko zmieni:
Wiosną, zimą i w jesieni
Dla niej jednej żyć,
Lub też w każdej porze roku —
Każe — to winnego soku
Beczki będę pić...
Będę wołać w Maju:
Dajcie mi Tokaju!..
To dobrze!..
I wbrew roztropności,
Błagać jej miłości
W Oktobrze!..

Z Berangera, **L. Kozłowski.**

Sprawozdanie z obrad
PIERWSZEGO ZJAZDU LITERATÓW I ARTYSTÓW POLSKICH
w Krakowie w d. 14 i 15 Września.

Dokończenie.

Z porządku dziennego nastąpił referat X. Dra J. Siemieńskiego: «O kwestjach spornych, wątpliwych lub mylnie podawanych w życiorysie Adama Mickiewicza i dlaczego ważną jest jego biografja». Z powodu późnej pory dla skrócenia i ułatwienia porządku dziennego, połączył na życzenie zgromadzenia ten swój referat z drugim referatem: «O potrzebie nowego poprawnego wydania dzieł Mickiewicza» i tak przemówił (w streszczeniu): Przedewszystkiem zwrócę na to uwagę, że dotychczas dopiero połowa korespondencyj Adama Mickiewicza jest znaną, druga połowa, o ile nie została zniszczoną, spoczywa w mniejszych lub większych zbiorach. Pożądaną byłoby zatem rzeczą, ażeby się dowiadywać o takie zbiory i odsyłać w odpisach te listy synowi poety Władysławowi, dla dostarczenia mu materjałów do IV-go i V-go tomu. Bo w korrespondencji Mickiewicza mamy dotychczas ogromne luki, zupełnie np. brakuje korrespondencyj z panią z Wagnerów Kowalską z Kowna, z księżną Wołkońską, z kolegami i przyjaciołmi wileńskimi. Druga kwestja jest, co do zamierzonego poprawnego wydania dzieł Mickiewicza. W wydaniach obecnych jest nadzwyczaj wiele błędów, nietylko drukarskich ale i wydawniczych, niema zaś żadnych objaśnień a chronologiczne są fałszywe, układane bez porównania z autografami. Jako jeden przykład przytoczę, że w małym wierszu «Do mojego Cziczerone» znajdzie się do rozstrzygnięcia kilkanaście kwestyj dla edycji poprawnej. Chodzi choćby o samą pisownię, która dzisiaj jest inną od tej, jakiej używał Mickiewicz. Takiego wydania jak mają pierwszorzędni, a nawet drugorzędni klasycy, sumiennie dokonanego, z objaśnieniami biograficznemi, bibliograficznemi, krytycznemi itp. Mickiewicz dotąd niema. Np. we wspomnianym wierszu jest pisownia np. tego rodzaju: Czicerone pisane przez cz, skryślił przez y, kłutliwa przez u. Jestto autograf Mickiewicza w albumie panny Ewy Ankwiczówny, o którym wiemy, z Odyńca, że był napisany przez Mickiewicza w Rzymie 18-go marca. Tymczasem w autografie podana jest data 1 kwietnia, zaraz więc powstaje kwestja, jak tę sprzeczność wytłumaczyć? Przytaczam to jako przykład kwestyj wymagających rozstrzygnięcia w poprawnem

wydaniu. Mnie się zdaje, że wiersz ten dlatego ma datę 1-go kwietnia, że Mickiewicz nie chciał w Albumie pisać wiersza, tylko zostawić imię i nazwisko i oddać jako prima Aprilis 1 kwietnia. Tymczasem przyszło natchnienie, gdy go Ankwiczowie oprowadzali po Rzymie i Ewunia objaśniała archeologiczne zabytki Rzymu i wówczas napisał 18go marca ten wiersz, ale datę poprzednią zostawił. Na końcu tego wiersza «do mojego Cziczerone» pisze Mickiewicz: «Ty umiesz przejrzeć nawet w serce głazu». W wydaniach zaś pism wieszcza jest zamiast tego «w serca z głazu» co naturalnie zmienia całkiem znaczenie tego co Mickiewicz chciał wyrazić.—Jeszcze na jedno zwrocę uwagę jako dowód potrzeby krytycznego wydania. W listach do Mickiewicza wydrukował syn 2 urywki z listów Marylli do Adama. W jednym z nich Marylla pisze: «Rozdział Pana czytałam.» Jestto oczywiście pomyłka w wydaniu, bo Marylla pisała: rozdział Zana czytałam.» Ztąd zaś jeden z literatów zaraz zrobił wniosek, że Mickiewicz pisał do «Wiadomości brukowych», które Marylla czytała. Albo np. ponieważ zamiast «sylwetki» jest tylko napisane «sylw.», mniemano, że «sylwetki (pamiętnik) rodziców» się znalazły.

To wszystko dowodzi, że takie wydanie poprawne byłoby konieczne. A godności zjazdu nie ubliżałoby zająć się tem, zwłaszcza, ponieważ syn upoważnił mię oświadczyć, że chętnieby do takiego wydania przystąpił i pracę literatów wynagrodził; prawom więc jego nie czyniłoby to szkody. Sądzę zatem, że należałoby już rzecz rozpocząć, korrespondencję przeprowadzać, porozumiewać sią i mam nadzieję, że ta myśl będzie łaskawie przyjętą.

Chciałem nakoniec kilka myśli podnieść co do biografji Mickiewicza. Historycy nasi nie zajmują się wiekiem XIX, sądząc, że to czasy za bliskie. Mylą się jednak, o ile mi się zdaje, bo każdy poznaje chętniej historję ojca niż dziada i więcej interesuje nas wiek XIX. niż XVIII. lub XVII. Z tego niezajmowania się przez historyków naszych wiekiem XIX. wynikło, że najsprzeczniejsze, najdziwaczniejsze opinje wyrażają i drukują się przez ludzi poważnych i nawet uczonych. Jako jeden mały przykład tego przytoczę kilka wierszy autora także uczonego, w poważnem piśmie drukowanych. Autor, którego wymieniać nie chcę, chcąc zwalić «bałwochwalcze» sądy o romantycznych pisarzach mowi, że «romantyzm wywarł wpływ bardzo ujemny na rozwój nauk i bieg spraw społecznych» itp.

Gdyby tak było czyż podobna stawiać pomnik Mickiewiczowi, naczelnemu wodzowi romantyzmu? Zarzucają romantyzmowi, że gardził naukami, że je chciał molom zostawić. Ale ludzie ci, ktorzy to zarzucają, nie starali się poznać biografji Filaretów i Filomatów, sądzili bez znajomości przedmiotu. Inaczej sądziliby, gdyby zbadali biografje ludzi tych, którzy pracowali we wszystkich zawodach, z których wielu było profesorami uniwersytetu, z których jeden jest profesorem w Collège de France, drugi Domejko, tak zaszczytne przed kilku miesiącami od parlamentu w Chili otrzymał odznaczenie za cenne prace naukowe. Filareci i Filomaci tłómaczyli bądź z klasyków starożytnych, bądź z języków nowożytnych, byli wszyscy ludźmi pracy czynnej w zawodach wszelkiego rodzaju, wszystkie zadania dzisiejszej epoki pojęli i postawili na porządku dziennym nietylko w słowie ale w czynie, nie wyłączając kwestji zajęcia się ludem, kwestji ekonomicznej. To wszystko historja może i powinna zbadać. Tu chodzi o kwestję historyczną, czy Mickiewicz jest wskrzesicielem narodu jako wódz naczelny romantyzmu, czy ma tę doniosłość i znaczenie, że godzien jest być pochowanym obok Kościuszki na Wawelu.

Widzicie panowie, że to są kwestje ważne, nietylko kwestja literacka ale kwestja: «być lub nie być» w których właśnie historja sumienna, bezstronna, spokojna XIXgo w. odezwać się powinna, dlatego do tego trybunału apeluję.

Oskarżono romantyzm z jednego wierszyka, że nauki molom chce zostawić, jakby w jednym wierszu mogło być ujęte hasło całe epoki, ale można odpowiedzieć innym wierszem tego samego Mickiewicza do doktora S. lub do Lelewela, w ktorym nauki są podniesione. Dlatego, że ktoś chce mieć serce, nie powiada, że nie chce mieć rozumu. To co Mickiewicz powiada o tej harmonji rozumu, reflleksji i serca w Grecji i co o nim słusznie krytycy powiedzieli, że on właśnie w sobie ukrywał tę harmonją reflleksji rozumu i serca, to samo można powiedzieć o epoce romantyzmu. Tam jest rowne zamiłowanie do nauki jak serdeczność, tam właśnie wszystkie uczucia szlachetne i wielkie w harmonji są połączone. Oskarżono romantyzm także z powodu mistycyzmu późniejszego Mickiewicza, ale pytam się: czyż epokę z 1820 r. można sądzić z tego co się działo 20 lat później. Towianizm nie wypłynął ze szkoły wileńskiej, nie miał z nią żadnej styczności. A najlepszy dowód, że zarzut ten mylny, jest to, że Mickiewicz na 7 lat przed przybyciem Towiańskiego do Paryża przestał pisać. Więc to przybycie Towiańskiego nie wpłynęło na to, że Mickiewicz przestał pisać. Towiańskiego w obronę nikt brać nie będzie, ale trzeba szukać okoliczności łagodzących co do osoby Mickiewicza, który był w dobrej wierze. Tam gorzej być mogło, niż to co się stało, niż ta sławna krotochwila, tam mógł powstać robrat wielki w narodzie, mogło się stać coś podobnego, chociaż w mniejszych granicach, jak to co się stało w XVI. w. Germanii. To wszystko trzeba zbadać i uwzględnić. Są błędy, które przynoszą zaszczyt. Kto wie czy historyk nie potrzebowałby zastosować tego do Mickiewicza. Któż np. będzie sądził Pascala naukowego z tego, co potem uczynił, popadłszy w mistycyzm i kwietyzm? Więc pragnąłbym w kwestji tak ważnej obudzić jakąkolwiek dyskusję publiczną.

P. Bełza zabrał głos:

Sądzę, ażeby sprawę, którą ks. Dr. Siemieński poruszył przekazać Kołu literackiemu krakowskiemu i lwowskiemu.

Wniosek ten został przyjęty.

Przewodniczący udzielił następnie głosu ks. kan. Polkowskiemu: Dowiedziałem się dopiero dzisiaj, że ten wiersz Kochanowskiego, który Panom przeczytałem jako nieznany, umieszczony jest w przypiskach do wydania pism Kochanowskiego, ogłoszonego przez Turowskiego. Z całą otwartością przyznaję się, że o tem nie wiedziałem. Wydań zbiorowych pism Kochanowskiego znam przeszło 20, a ponieważ w tych 20 tego wiersza nie znalazłem, a nawet w wydaniu Turowskiego tam, gdzie powinien być umieszczony tj. po poemacie «Zgoda», nie zwróciłem uwagi na ów przypisek. Ażeby więc nie wynikły jakiekolwiek zarzuty, żem wystąpił z rzeczą, ktora już była publikowaną, niniejszem oświadczam i objaśniam szczegoł ten, że wiersz wczoraj przezemnie przeczytany jest publikowany w przypiskach do wydania dzieł Kochanowskiego, nie był zaś powtórzony w późniejszych wydaniach co jeszcze tem więcej upoważniało mię do wspomnienia o nim. Przyznaję się do takiej nieświadomości, bo zdaje mi się, że takie przyznanie nie ubliża literatowi, boćwszystkiego i o wszystkiem wiedzieć nie podobna.

P. Librowicz: Zwracam się jeszcze do referatu ks. Dra Siemieńskiego, bo zdaje mi się, że kwestja to zbyt ważna, aby Zjazd nie skorzystał ze sposobności i szerszych Kół społeczeństwa tą sprawą nie zainteresował. Gdyby Zjazd zatem zdecydował wezwać publiczność do pomocy Kołu literackiemu krakowskiemu i lwowskiemu przy przygotowaniu wydania dzieł Mickiewicza, to zdaje mi się byłoby to zasługą, a całe wydawnictwo nabrałoby więcej rozgłosu..

P. Bełza: Co się tyczy Koła liter. lwowskiego, jest rzecz taka, że prawo własności literackiej służy rodzinie Mickiewicza i przez lat 3 jeszcze nikt prawnie bez porozumienia się z nią wydawać pism Mickiewicza nie może. Otoż tę sprawę musimy bardzo powoli przygotowywać; skoro rzecz ta pomimo usilnych zabiegów Władysława Mickiewicza, który z całym poetyzmem wziął ją w ręce, powoli postępuje, więc i Koło liter. krakowskie i lwowskie nie może w tej chwili wszystkiego zdecydować, ale bądźcie panowie przekonani, że w myśl referenta i tego całcie postanowili działać będzie, ażeby postawić drugi pomnik Mickiewiczowi.

Tutaj zabierała się część zgromadzenia do ukończenia posiedzenia. Przewodniczący też wzywa Zgromadzenie, aby wyraziło Radzie miasta Krakowa i jej prezydentowi podziękowanie za poparcie nietylko moralne ale i materjalne, co zgromadzenie czyni przez aklamacją. P. Pawlikowski zaś dziękuje w imieniu tych Zjazd urządzali, tym Panom co prace dla Zjazdu podjęli, z referatami wystąpili, a przeprasza tych, których referaty nie mogły być wobec krotkości czasu wzięte być pod rozwagę.

P. Szumski: Szanowne Zgromadzenie! Ponieważ podnoszono głosy, mianowicie szan. pp. Pawlikowski i Piltz, że zjazd dzisiejszy powinien się zamanifestować pożyteczną i dodatnią pra-

cą, więc zdaje mi się, że myśląc o przyszłości i przyszłym zjeździe powinniśmy wykazać, jakie są cele zjazdów wogóle. Mam w tym względzie samodzielny wniosek; jeżeli panowie pozwolicie można tę kwestję postawić na porządku dziennym przyszłego zjazdu. Jeżeli wniosek upadnie nie będę miał do nikogo żalu.

Zgromadzenie zezwoliło na odczytanie wniosków. Poczem po zwroceniu uwagi przez p. przewodniczącego, iż wnioski p. Szumskiego tyczą się regulaminu przyszłego zjazdu, przekazano je Kołu liter. lwow., do którego może się p. Szumski udać z swymi wnioskami.

P. Kamiński: Jedno z pism warszawskich, do którego nie należę, którego jednak myśl artykułu ostatniego podzielam, pragnęło złożyć pewien projekt, który nawet zdaje mi się, że do laski przewodniczącego dzisiejszego posiedzenia złożony został. Idzie rzecz o to — a jestto rzecz niezmiernie pozytywna, ażeby korespondenci galicyjskich i poznańskich dzienników z Królestwa czy z cesarstwa nie wprowadzali nieraz w szalone błędy opinji galicyjskich czy poznańskich czytelników, co dla nas ma bardzo złe skutki. Ażeby być konkretnym, wyłuszczę przykład, w nadziei, że rzecz wyjaśni i dobitnie przedstawi. Pisze p. korespondent w jednym galic. dzienniku: «naczelnik X. ubliżył w *grubijański sposób* córce obywatela Z. S.» Tymczasem pokazało się, że obywatel ten niema wcale córki, więc nie można było ubliżyć tej córce. Jakiż z tego skutek? Oto podana w tej samej korespondencji inna wiadomość prawdziwa, która mogłaby sprowadzić dochodzenie sądowe, nie zwraca już w właściwych sferach uwagi, gdyż pierwsza wiadomość okazała się nieprawdziwą. Doniesienia tego rodzaju przesadne, szowinistyczne sprawiają, że skutki z tego są dla nas bardzo smutne, bo wyradza się u tych panów, którzy pisma te czytują, a z doniesień prawdziwych stosownie korzystaćby mogli, pewne uprzedzenie. I nie można temu odmówić słuszności, jeżeli widzą takie rażące błędy. Ponieważ środek taki, jak donoszenie o faktycznych nadużyciach jest istotnie pożyteczny więc należałoby, aby korespondenci mieli zalecane być krytycznymi. Jeżeli będą krytycznymi w swych artykułach bezwarunkowo wiele pożytku przyniosą nam, ale tak przynoszą nam wielką szkodę. Przytoczę ostatni fakt. Dziennik jeden pisze: dowiadujemy się, że panowie, ktorzy na zjazd jadą nie dostają, chyba wyjątkowo, paszporty. Ja nie jestem uprzywilejowany, a panowie widzą, że dostałem paszport. Czytelnik w drugim artykule mógłby może znaleźć fakt, gdzie jest coś rzeczywiście wołającego o pomstę do nieba. ale zrażony nie czyta tego. Prosiłbym więc, aby zjazd zalecił, aby redakcje ostrożnie wybierały na swych korespondentów ludzi wytrawnych miłujących prawdę i umiejących ją nago, nago i jeszcze raz powtórzę nago wyrażać (brawa).

Przewodniczący odczytuje tutaj telegram od Z. Miłkowskiego.

P. Pawlikowski: Czuję się obowiązanym złożyć szan. p. Kamińskiemu za jego uwagi wyrazy wdzięczności w imieniu dziennika, który reprezentuję, a sądzę i w imieniu innych dzienników galicyjskich. Ośmielę się jednakże na prośbę wyrażoną przez niego tj. na żądanie najzupełniej słuszne odpowiedzieć także prośbą. Galicyjskim dziennikom jest niesłychanie trudno wystarać się o dobrych korespondentów z Królestwa. Z tą trudnością nieraz się łamią dzienniki i w końcu muszą chwytać tego, który się sam zgłosi. Korespondentów zaś odpowiadających wszystkim życzeniom jest bardzo nie wielu. Więc na wyrażone żądanie ośmielę się odpowiedzieć prośbą, aby ci, którzy mogą do galicyjskich dzienników dostarczać pewnych krytycznych wiadomości i czują tego potrzebę, abyśmy prawdziwie obznajmieni byli ze stanem Królestwa, sami nie ociągali się zawiązaniem tego rodzaju stosunków z galicyjskiemi dziennikami. Pozwolę sobie zwrócić uwagę i na to, że często redakcje galicyjskich pism zaciągają wiadomości z źródeł, które wydają się być najwiarygodniejszemi, a jednakże wiadomość okaze się fałszywą. Wiadomość o paszportach była drukowaną w kilku pismach galicyjskich; ja tę wiadomość słyszałem od redaktora jednego z pierwszorzędnych dzienników warszawskich.

P. Piltz: Poruszona teraz kwestja jest dla nas niesłychanie ważna. A mianowicie chodzi nietylko o wybór korespondentów, chodzi nietylko o samą rzecz tj. o fałszywe wiadomości przesyłane dziennikom galicyjskim ale i o ton w jakim są podawane. Mnie się zdaje, że redakcje dzienników galicyjskich do pewnego stopnia grzeszą tem, że pozwalają na pewne przekroczenie tonu, a skutki tego postępowania są wprost przeciwne, a mianowicie to, że osobistości, na działalność których prassa galicyjska tak niekrytycznie się zapatruje, zyskują tylko w tem traktowaniu największe poparcie szkodliwej swej działalności.

Nie mogę wymieniać pewnych osobistosci, z których jedna zmarła niedawno, a której ograniczenie działalności miało źródło w tem, że przesadzano w pochwałach. Również nie inna przyczyna tego, że tych których najwięcej ganią, mają coraz większą gwarancję swego szkodliwego działania (brawa).

Po tej dyskusji przystąpiono do dalszej części porządku dziennego. Ponieważ zaś pozostawało do załatwienia kilka punktów, więc przewodniczący proponuje, aby pp. referenci Grzegorzewski i Parczewski, których referaty łączą i uzupełniają się porozumieli się z sobą. Istotnie p. Grzegorzewski odstąpił od przedstawienia swego referatu, a p. Parczewski, którego referat jest ogólniejszej natury, zaproszony przez przewodniczącego zabrał głos.

Referat p. Alfonsa Parczewskiego: «O potrzebie wzajemności literackiej z ludami słowiańskiemi.»

Panowie! Herder powiedział raz, że ludy słowiańskie zajmują stosunkowo więcej miejsca w przestrzeni niż w historji. Słowa te pisarza bardzo sympatycznie dla Słowian usposobionego były niewątpliwą prawdą w wieku XVIII. i stosowały się do tych ludów słowiańskich, które po za granicami Polski i Rossji zamieszkiwały. W głębokim letargicznym śnie spoczywały te ludy, w letargicznym śnie, który graniczył ze śmiercią i zdawał się zapowiadać, że pójdą za przykładem Słowian połabskich, których szczątki wymarły w XVIII. w. w Hanowerskiem. Niebezpieczeństwo to groziło nietylko małemu pozbawionemu historycznej tradycji, ludowi Serbów łużyckich ale i zasobnym w bogatą przeszłość Czechom. Burza, która powiała po Białogórskiej bitwie zniszczyła wszelkie literackie i umysłowe życie w Czechach. Sam Dobrowski, patryarcha słowiańskiej lingwistyki pisał po niemiecku, po łacinie — nie przypuszczał, nie wierzył w możność odrodzenia czeskiego. Nowych książek czeskich nie pisano, stare tępiono. Pamiętny jest za czasów Marji Teresy niejaki Koniasz, który się chełpił, że 60.000 starych druków wyniszczył. O Słowieńcach niema co mówić. Ci nie poczuwali się sami do narodowości i nie wiedziano też o nich także. Może lepiej rzeczy stały u Słowaków, gdzie edykt tolerancyjny Józefa II. zrobił wiele dobrego, gdyż przedewszystkiem ewangelicy u Słowaków pielęgnowali literaturę i tam — prześladowana w krajach korony św. Wacława staroczeska literatura znalazła schronienie. Poza Dunajem, tam tylko echa rozbójnicze hajduków były jedynym odgłosem narodowego życia. U Serbów nie było żadnej literatury, nie istniał nawet język literacki, jeden człowiek, Raić, który w XVIII. w. w jego połowie poważył się pisać książkę o historji południowych Słowian pisał ją w języku, który był mięszaniną starosłowieńskiego ruskiego i serbskiego ludowi zgoła niezrozumiałą. Nareszcie co do Bułgarów to Europa zapomniała o nich zupełnie i oni też nie wiedzieli o sobie Kto nie był chłopem przestawał być Bułgarem a robił się Grekiem. Nawet Dobrowski uważał język bułgarski za narzecze serbskiego. czyli najzupełniej nie znał bułgarskiego języka.

Ale jak to często bywa, że w chwili największego upadku następuje epoka przesilenia, tak też się stało u Słowian w XVIII. Te czynniki, które miały sprowadzić upadek przyczyniły się do wywołania reakcji przeciw niemu, a mianowicie całe prawodawstwo Józefa II. w krajach pod panowaniem Habsburgów zostających zamiast zniweczyć i zniszczyć żywioł słowiański, do czego właśnie zmierzało, wzmogło go potężnie. Edykt o tolerancyi Słowaków, wszystkie reformy dotyczące bytu włościan na korzyść słowiańskich poddanych, którzy jęczeli w ucisku madziarskich lub niemieckich panów. W tym też czasie budzi się wszędzie powoli umysłowe życie, ideał odrodzenia zaczyna przeświecać u wszystkich ludów słowiańskich. U Słowieńców pierwszy Vodnik zaczyna pisać poezje w odrodzonym duchu, u Czechów przedewszystkiem uczeni, historycy zaczynają odrodzenie i narodowi przypominają dawne dzieje przeszłości historycznej. Ta przeszłość miniona tak rozpala niektórych ludzi, że nawet taki Puchmeier, lubo ksiądz katolicki pisze odę na cześć Żyszki. W w. XIX. ruch ten się rozwija jeszcze więcej od wynalezienia rękopismów, których autentyczność jest sporna, ale w życiu pra-

ktycznym były one iskrą zapalną, która śpiące uczucie narodowe rozbudziła. U Serbów Dozyteusz Obradović pierwszy zaczyna język ludowy wprowadzać do literatury, a przełomu dokonał Vuk Stefanović Karadżić. U Bułgarów Jerzy Venelin książką o starych Bułgarach przypomniał ich światu, który o nich zapomniał, a budził także śpiące uczucia narodowe w wielu takich ludziach, którzy uważali się przedtem za Greków. Nareszcie jakby na ukończenie tego całego dzieła budzącego się odrodzenia u wszystkich słowiańskich ludów, dwaj Słowacy, synowie tej ziemi, w której Cyryl i Metody słowo boże głosili, Kolar i Szafarzik podnoszą ideę wzajemności słowiańskiej. Kolar pisze «Córę sławy,» poemat, który się stał sztandarem kierunku, Szafarzik zaś na polu etnografji i historji literatury słowiańskiej buduje pierwsze umiejętne podstawy dla slawistyki. To pojęcie łączności było deską zbawienia drobnym ludom słowiańskim. Te ludy, które w przeszłości nie mogły stawić dość siły oporu, znalazły ją w poczuciu, że za niemi stoją inne pokrewne plemiona, z których niejedno także z przepaści wydobywało się. Zasada ta wzajemności słowiańskiej doprowadziła wprawdzie następnie do aberacji w rodzaju Budiłowicza, który chciał to pojęcie wzajemności wyzyskać w interesie jednego tylko narodu; teorje w tym rodzaju nie znalazły jednak u ludów słowiańskich powszechnego odgłosu, a głos taki, jaki słyszeliśmy wczoraj od owego Czecha, jest głosem pojedyńczym, a to pewna, że na wyrzeczenie się narodowości żaden z ludów słowiańskich nie zgodziłby się. Otóż ten słowiański renesans dla nas pozostał bardzo mało albo całkiem nieznany, ponieważ przypada w czasy, w których literatura nasza miała czem innem się zajmować. Wiele się złożyło na to okoliczności, których wyjaśniać nie będę, że nasza literatura zajmowała się mniej niż literatury innych pokrewnych narodów odrodzeniem ludów słowiańskich. Wprawdzie byli pojedyńczy ludzie, naczelne stanowisko w literaturze naszej zajmujący, którzy Słowianami zajmowali się gorliwie. Dość wspomnieć Mickiewicza prelekcje o historji literatur słowiańskich, prace historyczne Lelewela, Surowieckiego; Chojecki pisał książkę o Czechach (Czechija i Czechowie), książkę, która nie straciła do dziś dnia wartości. Sami Czesi z wielką wdzięcznością wspominają imię Rościszewskiego, który sympatją, czynem i radą przychodził z pomocą w chwili odrodzenia czeskiego. Nareszcie w najnowszych czasach działał w tym kierunku najwięcej Bronisław Grabowski i jego usiłowaniom zawdzięczyć możemy, że został rzucony pomost wzajemności literackiej Polski z Czechami.

Dlatego też o Czechach wspominać nie myślę, jak również wyłączam zupełnie te ludy, z których literaturami jesteśmy obeznani i które nawzajem mają sposobność poznać się z nami, a mówić będę tylko o Łużyczanach, Chorwatach, Serbach, Bułgarach, Słowieńcach i Słowakach. Z tymi ludami dotąd znamy się nadzwyczaj mało. Literatury ich są nam bardzo mało znane, bo tylko pewnym kołom, pewnym osobom; dla szerokiego ogółu społeczeństwa, a nawet literatów naszych są rzeczą daleko mniej znaną niż literatury ludów dalej od nas leżących i z którymi mniej geograficznej mamy łączności niż z ludami słowiańskiemi. Na odwrot te ludy, jak np. Serbowie i Słowacy błędne o nas mają pojęcie. Podróżując w tych krajach, np. w św. Marcinie Turocczańskim spotykałem się u ludzi, zkądinąd bardzo wykształconych, którzy stoją na czele narodu, z ignorancją najgrubszą o rzeczach polskich, która połączona jest z najfałszywszemi pojęciami o stosunkach naszych. Nazwiska Mickiewicz i Kraszewski znane są wszędzie i to tylko z imienia najczęściej, ale co się dalej stało i dzieje z naszą literaturą, są to rzeczy dla Serbów, Słowaków i innych słowiańskich ludów zupełnie obce. Że stan taki jest szkodliwy, zdaje się wątpliwości nie ulegać. Te ludy są świeże, młode, przyszłość mają niewątpliwie przed sobą, ludy które coraz więcej zaczynają się o losy naszego narodu ocierać, a kto wie co przyszłość jeszcze przyniesie. Naszym interesem jest, ażeby znały nas bezpośrednio, a nie czerpały ze źródeł mętnych lub wprost nam nieprzychylnych. Nie za nimi przemawiam, ale za naszym własnym interesem. Jeżeli literatura jest wogóle wyrazem życia narodowego, a może nigdzie nie można tego powiedzieć z większą prawdą, jak właśnie o tych literaturach małych słowiańskich, że się łączy z życiem społecznem ludu, to obowiązkiem naszym jest starać się z literaturami temi zapoznać i starać się z drugiej strony, aby te ludy nas znały i wiedziały o nas (brawo i oklaski). Jeszcze jedna korzyść ztąd dla nas wypłynie. Mianowicie, jeżeli u tych ludów słowiańskich oświata ludowa w niektórych przynajmniej stronach posunęła się dalej jak u nas, szczególniej u Czechów i Słowieńców, to żadna z tych literatur słowiańskich nietylko, że się nie może mierzyć z zachodnio europejskiemi ale i z naszą literaturą pod względem wzniosłości i głębokości utworów. Takich ludzi jak Mickiewicz i Słowacki ani jedna z literatur słowiańskich nie posiada. Jeżeli te ludy zapoznają się z naszą literaturą, jeżeli ta wzajemność literacka na tem literackiem polu, o którem Mickiewicz mówi, że jest polem, na którem ludy żyć mogą nie spychając się wzajemnie, jeżeli ta wzajemność zaprowadzoną będzie, to tym sposobem otworzy się dla naszej literatury szerokie pole zbytu. Cieszy nas, jeżeli jaki utwór nasz przetłomaczony bywa na język np. niemiecki; jest to pocieszającem, ale łatwiej jest, ażeby to pole zbytu otwarło się ku tym ludom słowiańskim, aniżeli płynąc pod ten prąd zachodnio-europejskiej kultury, w którym my bądź co bądź drugorzędne zajmujemy stanowisko. Tu przeciwnie mamy szerokie pole zbytu, na którem literatura polska może prawdziwie zaimponować. To zaś zależy od nas.

Nie trzeba, panowie, wielu starań i zbyt sztucznych usiłowań. Powiedzieć ktoś może: droga księgarska otwarta każdemu, wszędzie można kupić polską książkę, jeżeli zatem ci literaci chcą poznać naszą literaturę mogą każdą książkę czytać. Otóż tak nie jest. U ludów tych literaci (z wyłączeniem Czechów) znajdują się w położeniu wyjątkowem, tam literaci pracują bez wynagrodzenia, tam nie istnieje kwestja własności literackiej i nie wywołałaby takiej dyskussji, jak u nas. Tam dziennikarze, literaci muszą walczyć z nędzą, ażeby zapewnić egzystencję pismu. Wśród tych małych ludów np. Słowaków, znajdujących się w bardzo ciężkiej politycznej egzystencji, literat jest kapłanem, który nie dla zarobku, nie dla dochodu pisze, ale tylko, że mu chodzi o podniesienie poziomu obywatelskich uczuć narodu. Ten człowiek walczy z nędzą, nieraz nie wie co jutro jeść będzie, a jeżeli chce zapewnić sobie kawałek chleba musi się zajmować inną pracą, która mu pozwala na swobodne życie, np. Bleiweiss, znany patryarcha słowieński był weterynarzem. Dla tego to powodu literaci innych słowiańskich ludów polskich książek nie znają, bo nie mają na kupno. Do redakcyj swoich czasopism sprowadzają konieczne rzeczy zachodnio-europejskiej literatury, które są niezbędnie potrzebne. Na kupno więc polskich książek nie mają. Tymczasem jest jeden sąsiedni naród, który zaopatruje wszystkie redakcje i towarzystwa słowiańskie swojej literatury płodami. Tam do najmniejszego ogniska życia narodowego posyłają wszystko począwszy od małego dzienniczka aż do wydawnictw akademij. Dla tych publikacyj, choćby dla ogromu bibuły, każdy czuje szacunek. Tylko nasza wina, że my tego samego nie robimy. Pod tym względem panują najfałszywsze u nas niejednokrotnie pojęcia, a ich wyrazem był wczorajszy numer Gazety Krakowskiej, która nie wiedząc jeszcze o treści referatu z samego tytułu go potępiła (śmiech). My nie powinniśmy tak robić jak struś, który gdy się schowa za drzewo i myśli że się od goniącego nieprzyjaciela uchronił. Nie powinniśmy milczeniem zabijać najważniejszych dla życia naszego narodu kwestyj (oklaski).

Z poznania literatur słowiańskich płynąć będzie jeszcze jedna korzyść, już dla nas bezpośrednio. Oto w tych wszystkich literaturach słowiańskich element ludowy jest wysoko rozwinięty u wszystkich tych ludów, bo masa narodu składa się z ludu. Szlachta, wogóle żywioł wyższy opuścił narodową sprawę, albo też wcale szlachty narodowej nie było. To też w tych wszystkich krajach szlachta jest niemiecką, madziarską, włoską, turecką a tylko lud zatrzymał poczucie narodowe. Nic więc dziwnego, że cała literatura zwróciła się dla ludu i z uwagą na lud. To jest może główna różnica, która dzieli te małe literatury od literatury naszej i różnica, która kto wie czy nie zapewnia im wyższości tem, że tam literatury istnieją dla wszystkich. Tam literatury te zachowały ten stopień poziomu estetycznego, ten stopień poczucia piękna, że i człowiek więcej wykształcony z przyjemnością je odczytuje. Istnieją tam szerokim, wielkim strumieniem płynące i ożywczą wodę zarówno dla wszystkich niosące literatury. U nas przeciwnie jest szalony przedział tak w życiu, jak w literaturze. Są niektóre utwory wyperfumowane zanadto, a inne w których prostactwo ma być naśladowaniem stylu i tonu ludowego. Otóż do owych ognisk literatur słowiańskich, do tych miast słowiańskich, w których koncentruje się życie narodów, my także możemy wstąpić po naukę, my się możemy tam nauczyć jak ogólny poziom obywatelski podnosić, jak na szlachetniejszą wyższą

nutę nastroić serca nie pojedynczych ludzi ale całych mas. To jest największa korzyść dla nas, także płynąca z poznania literatur słowiańskich. Tam poeci i literaci wyszli z warstw ludowych i umieli natrafić na nutę ludową, bo z chaty wieśniaczej co najwyżej nauczyciela lub pastora ewangelickiego wyszli. Tak np. Lucyan Muszycki, biskup karłowacki, jeden z założycieli Matice serbskiej był synem włościanina z Boczki, Jungman był synem poddanego i to samo można spotkać prawie we wszystkich życiorysach mężów odrodzenia.

Otóż, panowie, przechodząc do konkluzji, byłoby bardzo pożądanem, aby wszystkie nasze redakcje czasopism, przynajmniej te, którym środki materjalne pozwalają, postarały się zawiązać wzajemność literacką z ważniejszemi pismami literackiemi ludów słowiańskich, czego dotąd, przynajmniej bardzo mała tylka liczba pism naszych dopełnia. Są nawet wypadki, że tamte pisma przysyłają ktoremu z polskich, a od tego samego pisma, mimo że to jedno z najbogatszych w Polsce nie dostają egzemplarza. Otóż byłoby pożądane, jeżeli uznacie panowie potrzebę działania na tem polu, nie dla tamtych narodów słowiańskich, ale dla nas samych, abyście uchwalili w zasadzie konieczność obsyłania pism do centr literatur słowiańskich. Gdyby ktora z naszych redakcyj zastosowała się do tego rodzaju uchwały, to w takim razie pozwolę sobie podać w formie informacji te właśnie pisma, z ktoremi głownie należałoby zawiązać literacką wzajemność.

W Budyszynie wychodzi «Łuzica» pod redakcją Muki; w Św. Marcinie Turoczańskim: «Slovenske Pohlády; w Lublanie «Zwon» pod redakcją Levca; w Zagrzebiu «Vienac»; w Nowym Sadzie «Jawor»; w Belgradzie obok poświęconego nauce «Glasnika» «Serbskog uczenog družstwa» wychodzi «Otaczbina» pod redakcją Vladana Georgievića. W Bułgarji literackie życie streszcza się głownie w dziennikach, które od czasow niepodległości wyrastają jak grzyby po deszczu, ale też szybko nieraz giną. W Rumelji dziennikarstwo odznacza się większą dojrzałością niż w Bułgarji niepodległej. W Filipopolu wychodzi «Marica», literacko-naukowym organem jest «Nauka», w ktorym pisze Vazow, pierwszy prawdziwy poetycki talent bulgarski. W Sofji wychodzi: «Periodiczesko spisanie», do którego piszą Drinów, Ireczek, Stojanow.

Jest jeszcze jedna kwestja dotycząca tego samego przedmiotu. Jeżeli nasze czasopisma są w ogóle bardzo mało znane, a przez to i stosunki nasze są wbrew błędnie pojmowane u ludów zachodnio-południowych Słowian, to z drugiej strony język rossyjski jest daleko więcej konieczny dla tych uczonych a to z powodu, który i my także pod uwagę wziąć powinniśmy. Rosyjscy uczeni w pracach swoich zwracają się często ku tym ludom słowiańskim i te prace ich są tego rodzaju, że bez nich żaden uczony słowiański obejść się nie może. To są prace źródłowe, np. Uspiańskiego, Leontowicza, Simera. Otóż co do nas mieliśmy dawniej prace pierwszorzędnego znaczenia, zajmujące się podobnemi sprawami; wspomniałem Lelewela, Kucharskiego, Surowieckiego, niestety dzisiaj ani jeden z naszych uczonych na polu lingwistyki, etnografji nie pisze prac takich, ktoreby były konieczne dla tamtych literatów. Ażeby więc literatura nasza nakazała niejako szacunek dla siebie tym mniejszym literaturom słowiańskim, byłoby pożądane, aby nasi uczeni zwrocili się z badaniami swemi i w tym kierunku, i aby z pod ich piór w historji, etnografji itp. wychodziły prace, ktoreby zmusiły do uczenia się naszego języka. Byłby to jeden krok więcej, aby naszej literaturze zbyt większy zapewnić, aby nasza literatura stała się potrzebną koniecznie i dla innych narodow.

Przy kwestji wzajemności jest jednak jedna i to pierwsza przeszkoda, która się napotyka odrazu wtenczas już, gdy się chce kupić dobre podręczniki dla wyuczenia się języka słowiańskiego. Oto handel księgarski słowiańskiemi rzeczami u nas nie istnieje. Chcąc zapisać książkę np. z Belgradu przez księgarnię naszą nie doprowadzi do celu, bo najczęściej odpowie: nie przyszła, a zresztą żadnej w tym względzie informacji nie potrafi udzielić. Pozostaje więc droga na Lipsk, ale i ta nie doprowadzi nieraz do celu, a przytem ta droga jest kosztowna, bo księgarnie tamtejsze nakładają na te książki ceny bajecznie przechodzące nieraz te ceny jakie są na miejscu do pewnego stopnia o połowę. Otóż należałoby zorganizować handel księgarski rzeczami słowiańskiemi dlatego, abyśmy mogli o tych rzeczach wiedzieć, aby i tamte ludy jak i my zaopatrywać się mogły w książki polskie i aby książki nasze miały ogromne pole zbytu, a literatura polska mogłaby wyższe stanowisko względem tamtych zajmować. Otóż panowie, czy nie byłoby dobrze, aby właśnie w Krakowie, ktory geograficznie jest w bardzo szczęśliwem położeniu, czyby więc tutaj nie należało wyrazić życzenia, ażeby ktora z księgarń krakowskich przyjęła na siebie tę misję, ktora i dla ogołu życia naszego i dla większego rozwoju naszej literatury może prawdziwe oddać usługi. Byłoby więc pożądanem, aby jedna księgarnia przyjęła takie zadanie jako specyjalność swoją i w tym kieruku działalność swoją rozwinęła,—a obok tego mogłaby wydawać taka księgarnia katalog poświęcony rzeczom słowiańskim. Dotąd wychodzi taki katalog w Pradze ale tylko co rok; i on może mieć znaczną dla nauki wagę ale w praktyce jest niemożebny, a przytem się opóźnia (dotąd nie wyszedł za rok przeszły). Jakiś czas wydawano także taki katalog w Lipsku (Pech u Brockhausa) ale i ten przestał wychodzić. Najwłaściwiej byłoby, aby księgarnia, ktoraby się specjalnie słowiańskiemi rzeczami zajmowała, wydawała też i katalog bez naukowych pretensyj, ale dla praktycznych potrzeb handlu księgarskiego.

Z tych więc wszystkich zasad szanowne zgromadzenie uchwalić raczy: Pożądaną jest wzajemna wymiana czasopism literackich i naukowych z czasopismami tych ludów sławiańskich, z ktorymi dotąd nie było bliższej sposobności poznania się, a mianowicie: Słowaków, Łużyczan, Sławeńców, Chorwatów, Serbów, Bulgarow; rownież zcentralizowanie handlu księgarskiego rzeczami sławiańskiemi w jednej z księgarń w Krakowie, wydawnictwo w krótkich odstępach czasu ogolno sławiańskich bibliografij, wreszcie byłoby do życzenia, aby w literaturze polskiej pojawiały się źródłowe, naukowe opracowania na polu literatury, historji, etnografji i językoznawstwa ludów sławiańskich (grzmiące oklaski).

P. Jan Grzegorzewski dołącza do referatu p. Parczewskiego swoj wniosek, ktory miał być wypływem osobnego referatu. Wniosek ten brzmi:

«Pierwszy zjazd artystów i literatów polskich w Krakowie, uznając potrzebę wzajemności literackiej i artystycznej między ludami słowiańskiemi, tudzież szanując własności religijne i narodowe każdego z nich, wyraża nadzieję, że ani pisownia cyrylicka dla wyznających obrządek rzymski, ani łacińska, dla wyznawcow obrządku greckiego, jak w ogole wszelkie rożnice, wyrobione dziejami lub zwyczajem w zewnętrznych formach twórczosci duchowej, nie będą przeszkodą do rozwoju i utrzymania bratnich między nimi stosunków w dziedzinie literatury i sztuki.»

Nad referatem i wnioskami p. Parczewskiego otwarł przewodniczący dyskusją i udzielił głosu p. Czajewskiemu: Chcę uzupełnić tę ogolną pracę p. Parczewskiego. Pominięty tu został jeden naród bliżej nas obchodzący jak wszyscy Słowianie. Żył nawet z nami oddawna, a zamieszkuje połnocne granice dawnego polskiego terytorjum; są to Kaszubi. Otóż dotąd nie zwracano na niego w ogole uwagi i nie zwrocono tu na zjeździe. On ciągle walczy z Niemcami i utrzymuje ciągle swą samodzielność, a od czasu do czasu pojawiają się tam mniejsze lub ważniejsze prace, które dają najlepszy dowod, że ten naród żyje i w każdym razie polska literatura i prasa powinny zwrócić na niego baczniejszą uwagę i zawiązać bliższe z nim stosunki, których dotąd niema. Powinniśmy zatem na tym zjeździe przynajmniej zaznaczyć sympatję dla tego narodu.

Na zwroconą p. Czajewskiemu uwagę, że Kaszubi nie są narodem, prostuje mowca swe wyrażenie, rzecz samą utrzymując.

P. Grzegorzewski: Byłbym może wyrazem przekonania prawie wszystkich nas obecnych, jeżeli powiem że Kaszubi nie będąc narodem tylko gwarą, odmiennym narzeczem, doznają i opieki i niepowodzeń wspólnie z całym naszym ludem. Ponieważ nie była zorganizowana opieka nad wydawnictwami ludowemi nigdzie więc i oni jej nie doznawali. Łączenie zas tej sprawy z zawiązaniem stosunkow literackich ze słowianami nie jest właściwem. P. przewodniczącego upraszałbym zaś, aby moją rezolucję jako ogólniejszą przedłożył do głosowania przed rezolucją p. Parczewskiego.

P. Parczewski: Zauważę to samo, że Kaszubi nie są narodem tylko częścią ludu polskiego mówiącą cokolwiek odrębnym narzeczem, a pozbawioną inteligencji takiej wśród siebie, jaką posiadają inne części kraju naszego. O ile ta inteligencja w małej cząstce się tam znajduje, mianowicie księża i zamożniejsi gospodarze, uważa za swój język język polski, kościelnym językiem jest polski, kazania mowią się ogólnym językiem polskim tak

samo jak to widzimy gdzieindziej wśród naszego ludu, który nawet nie lubi książek pisanych narzeczem ludowym.

P. Kamiński również występuje przeciw wiązaniu sprawy Kaszubów ze sprawą wiązania stosunków z narodami słowiańskimi, bo uznawalibyśmy ich przez to osobnym narodem, co się sprzeciwia i prawdzie i naszym interesom.

Dr. Hanusz: W referacie p. Parczewskiego jest mowa o wzajemnem zawiązaniu stosunków literackich z ludami słowiańskimi. Kaszubi nie mają żadnej literatury. Jest kilka dziełek, które napisali wykształceni Kaszubi, znający język literacki polski, w narzeczu ludowem. Więc też o zawiązaniu literackich stosunków mowy być nie może. Jeżeli zaś p. Czajewskiemu chodzi o to, że nie wspominano o Kaszubach, to trzeba przypomnieć, że przed kilku laty mieliśmy kongres historyczny, na którym p. Jarochowski zwrócił uwagę, kiedy była mowa o języku polskim, na to że w języku Kaszubów można znaleźć wiele cennych rzeczy dla poznania historji całego języka polskiego. Gwara ich jest tak różna, jak szląska ale bezsprzecznie trzeba ją poznać. Tylko że w tym celu trzebaby, aby jeden lub drugi lingwista i etnograf pojechał i bezpośrednio badał te stosunki, a wyniki ogłaszał, ale my tutaj nie możemy o tem mówić.

P. Papieski: Rezolucję p. Parczewskiego chciałbym uzupełnić. Niedostateczną jest bowiem wymiana dziennikarska z ludami słowiańskimi i należy się starać, aby umożliwić tym ludom o ile możności bezpłatne zapoznanie się z naszym ruchem literackim, przesyłać im zatem ile się da nowości literackie, a zatem prosić pp. literatów, ażeby ci prace swe przesyłali do wszystkich centrów cywilizacyjnych, a mianowicie do słowiańskich Macierzy. Tak samo należałoby prosić, aby Macierz polska przesyłała swe wydawnictwa.

P. Parczewski jako referent: Co do kwestji przez p. Czajewskiego podniesionej mogę dodać, że nawet w najdalej posuniętej części siedzib Kaszubów, już nie w Prusach, nie w Limburskim i Bytomskim, ale w Sledzkim powiecie, najdalej na zachód leżącym, i tam język polski jest religijnym. Biblją polską i kazania polskie najdokładniej rozumieją, a oddzielna literatura jest zbyteczną. Na Kaszubach najmniej wiedzą o Drdowskim, dlatego że język polski ogólny najwięcej go lubią. Oczywiście, że gdyby się na Pomorzu utrzymała była Słowiańszczyzna, to Kaszubi przylgnęliby do tamtego języka, a skoro tamto centrum odpadło przylgnęli do polskiego.

Co do wniosku p. Papieskiego jestem wdzięczny za niego. Każdy, kto pochwala w zasadzie konieczność zawiązania wzajemności z słowiańskimi ludami, zgodzi się i na jego wniosek. Nie chodzi tu o to, aby każdy literat do wszystkich centr książki swe wysyłał, tylko chodzi o wyrażenie desyderatu. Kto będzie miał środki na to poszle, komu środki nie pozwolą nie poszle. Chodzi głównie o zasadę, ażebyśmy się starali, abyśmy byli znani tym ludom nadzwyczaj czynnym i które w historji prawdopodobnie coraz czynnniejszy będą brać udział, zadając kłam słowom Herdera, ażeby więc ludy te nie patrzyły na nas przez czarne okulary, które im chcą inni wsadzić. To jest naszym obowiązkiem, który wykonywać powinniśmy. W imię tego powinniśmy się starać, aby wszystkie czasopisma, które mogą i literaci, którym starczą na to środki, zdobyli się na nieliczną ofiarę pism i książek, któreby posyłano do jednego i drugiego centrum literatur słowiańskich a tym sposobem literatura nasza weszłaby za granice geograficzne ziemi naszej i rozlała się większym i szerszym strumieniem.

P. Słupski stawia dodatek do wniosków p. Parczewskiego tej treści: szanowny pierwszy zjazd literacko-artystyczny w Krakowie uchwalić raczy, aby Koło organizujące przyszły zjazd, zaprosiło także przynajmniej wybitniejszych przedstawicieli dziennikarstwa i literatury wszystkich ludów słowiańskich.

Przewodniczący: Do rezolucji p. referenta wniesiono zatem trzy dodatkowe wnioski: 1szy p. Papieskiego przyjęty przez referenta; 2-gi poprawka p. Słupskiego i 3-ci wniosek p. Grzegorzewskiego. Wnioski te i rezolucją p. referenta odczytano.

P. Pawlikowski zwraca uwagę, że niema już kompletu zjazdu, lecz tylko jego część, więc proponuje rozpatrzenie kwestyj przez innych pp. wnioskodawców postawionych, nad któremi póznoby się już było dyskutować, odłożyć do przyszłego zjazdu.

P. Smólski: Rezolucja p. Parczewskiego jest bardzo na czasie i bardzo ważna, powinniśmy się więc zamanifestować w tym kierunku. Że zaś wielu członków zjazdu, jak p. Pawlikowski zauważył, brakuje, to nic nie przeszkadza, ponieważ w regulaminie niema przepisanej liczby ilu potrzebnych jest do kompletu. To mogło się stać wczoraj i już na pierwszem posiedzeniu, uchwały więc są i przy nieobecności części członków ważne.

P. Pawlikowski prostuje, że zwracał się do innych pp. wnioskodawców a nie do p. referenta.

P. Słupski: Jako jeden z wnioskodawców głos zabieram. Są takie wnioski, na których przedyskutowanie potrzebaby dużo czasu i są drażliwszej natury, a są znowu kwestje zupełnie jasne i proste, które odrazu i bezwarunkowo przyjąć można. Do takich liczę wniosek p. Parczewskiego. Wniosek z nim połączony a mianowicie p. Grzegorzewskiego należy zdaniem moim do takich, na któryby się nie każdy zgodził. Otóż byłbym zdania, aby nad wnioskiem p. Parczewskiego głosować, co do wniosku z nim się łączącego cofnąć do przyszłego zjazdu, a co do mojego zaznaczyć w protokóle, że kiedym go czytał został akceptowany.

Nastąpiło głosowanie.

P. Parczewskiego rezolucja przyjęta jednogłośnie.

II-gi wniosek dodatkowy p. Papieskiego także przyjęty.

P. Słupski cofnął swój wniosek do przyszłego zjazdu.

Wniosek p. Kamińskiego nie poddany przedtem pod głosowanie, odczytany został: Zjazd literatów i artystów w Krakowie, wyraża życzenie, aby redakcje pism polskich, za granicami Królestwa Polskiego (Kongresowego) zamieszczając wiadomości z ziem pod panowaniem rossyjskiem zostających, przestrzegały ścisłej prawdy faktycznej i unikały jaskrawej barwy w formie tam, gdzie fakt i rozwaga barwy tej nie usprawiedliwiają.»—W głosowaniu przyjęty jednogłośnie.

Pozostający jeszcze z porządku dziennego referat o założeniu pisma informacyjnego literacko-artystycznego cofa referent p. Bartoszewicz, jako wymagający szerszej dyskusji.

Przewodniczący p. Zawadzki Wład: Uważając zjazd I. za zamknięty i żegnając panów serdecznie mówię tylko: «do widzenia we Lwowie!» P. Pawlikowski: w imieniu zgromadzenia dziękuje p. przewodniczącemu, który w ożywionej dyskusji ostatniego posiedzenia umiał utrzymać ład i porządek.

P. Kossak: Pozwolą i mnie Panowie na parę słów serdecznego podziękowania. Łatwo powziąć myśl, ale wykonać najtrudniej. To cośmy obmyślili w Kole szczerze i serdecznie wyście panowie wykonali, wyście to wypełnili życzliwem przybyciem do Krakowa. Daj Boże, aby zaczęte dzieło jak najświetniejszych skutków się doczekało. Więc «do widzenia.»

P. Piltz składa w imieniu Zgromadzenia podziękowanie dla pp. Kossaka, Asnyka, i Bartoszewicza, jako organizatorów Zjazdu.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Ruch muzyczny.

Dnia 5 października dało krakowskie Towarzystwo muzyczne swój pierwszy wieczorek dla członków, 17-go zaś mieliśmy pierwszy koncert p. Barcewicza; sprawozdania z tych dwóch koncertów dać nie możemy, gdyż właśnie wówczas przysłuchiwaliśmy się wybornej operze nadwornej i operetkom w teatrze „an der Wien" nad modrym Dunajem. 19go października odbył się koncert Bürgera wiolonczelisty i p. Tony Wolf, młodej pianistki. Gra p. Zygmunta Bürgera jest już w Krakowie od lat kilku znana, a zajmuje nas tem więcej, iż p. B. ciągle postępuje· Wirtuoz ten posiada piękny, pełny, okrągły i szeroki smyczek. Ton jego, który z swego sympatycznego instrumentu wydobywa jest zdolen do wszelkiej modulacji i zarówno piękny, gdy jędrnie w fortissimo wychodzi, jak gdy zaledwie jako szept z pod jego palców słyszeć się daje. Dzielny te wiolonczelista gra atoli najczęściej słabe i mdłe utwory swego nauczyciela Poppera. Panna Tony Wolff jest to jeszcze młodziutka pianistka, która zawcześnie koncertować zaczęła, posiada dobre prowadzenie śpiewu i dobrze wyrobioną technikę palcową. Młoda ta adeptka sztuki jest uczennicą prof. Epsteina w Wiedniu. W piątek dnia 26 pazdziernika odbył się drugi i ostatni koncert Stanisława Barcewicza (skrzypka) z współudziałem pp. Bylickiego, Singera i Sandoza. Koncertant jest najlepszym uczniem ś. p. Lauba i dziś już należy do najpierwszych wirtuozów europejskich. Słyszeliśmy go ostatnim razem przed trzema laty, lecz jakże spotężniał ten talent w ciągu tego czasu. Technikę p. B·

posiada znakomitą, lecz nad tą techniką panuje strona duchowa. Wyróżnia on się od innych dziś pierwszorzędnych skrzypków olbrzymim tonem i śmiało twierdzić możemy, że za lat parę będzie on godnym następcą ś. p. Lipińskiego i Henryka Wieniawskiego. Grą swą zachwycał już Niemcy, Danją i Szwecją. W grze jego przebija się pewność siebie i wytrawność, a nam szczególniej podobał się jego szeroki śpiew w Kantylenie. W jego wykonaniu fantazji z opery „Faust" Sarassatego podziwiano te tak wzorowo oddane trójki i fladżolety, w innych zaś odegranych utworach owe pyszne *pizzicata* i niezrównane *diminuendo*. Porwał on słuchaczy wykonaniem mistrzowskiem ustępu drugiego w czwartym koncercie Vieuxtemps'a t. j. Adagio religioso.

Kompozycje Wieniawskiego wykonał ten nasz polski Paganini z ogniem i zacięciem prawdziwie polskim. — Pan Bylicki, który koncertantowi na fortepianie towarzyszył, wykonał prócz tego z rzeczy solowych: „Pieśń bez słów Mendelsohna", "Przy źródle" Liszta, „Nowellettę" Schumanna i „Allegro de Cóncert" Chopina. Najwięcej nam się podobał p. B. w tym ostatnim utworze nieśmiertelnego mistrza, wykonał bowiem Allegro poetycznie a z głębokiem zrozumieniem ducha tej ślicznej kompozycji. Rozpoczęto ten koncert kwartetem (D-mol) Noskowskiego odegranym przez pp. Bylickiego (fortepian) Singera (altówkę) i Sandosa (wiolonczela); koncertant grał partję skrzypcową.

W listopadzie mieliśmy dotąd tylko wieczorek Towarz. muzycznego i koncert pani Artot. Drugi wieczór muzykalny krakowskiego Towarzystwa muzycznego z współudziałem panny Natalji Janothówny i ks. Marceliny Czartoryskiej odbył się dnia 5 listopada w sali redutowej. Znane zaszczytnie w świecie artystycznym imię p. Janotówny ściągnęło licznych słuchaczy i przepełniło zupełnie obszerną salę koncertową. Rodaczka nasza wykonała najpierw Brahmsa waryacje na dwa fortepiany wraz z ks. Czartoryską; następnie nader trudny karnawał Schumanna, którego wybornem pojęciem i wykonaniem oczarowała słuchaczy. Nie potrzebujemy tu dodawać, iż hucznym oklaskom nie było końca, a miły nasz gość dodać jeszcze musiał nad program „Gawot" anonima i „Mazurek" Zarzyckiego. Prócz tego grała jeszcze p. Janothówna part fortepianowy w Żeleńskiego trio op. 22. Program wieczoru zawierał jeszcze dwa chóry męzkie t. j. „chór żeglarzy" Eckerta i Engelsberga „Rodzinna mowa" i sola na wiolonczelę, a mianowicie Romans Saint-Saënsa i Burleskę Noskowskiego odegrał nauczyciel wiolonczeli w Towarzystwie muzycznem p. Cink z towarzyszeniem fortepianu (p. Barabasz).

W piątek dnia 9 listopada odbył się koncert pani Desirée-Artôt i p. Mariano de Padilla głośnych w swym czasie imion z współudziałem p. Schaelinga, młodego pianisty z Petersburga. Panią Artôt słuchać warto było niegdyś, dziś ząb czasu zniszczył ten przed laty tak piękny głos i pozostały tylko ruiny. Nie o wiele lepiej poszło i panu Padilli; co atoli obojgu pozostało, to znakomita szkoła, którą dziś chcą zastąpić brak głosu, lecz nadaremnie. Jak słyszeliśmy zamyśla p. Artôt założyć szkołę śpiewu, mamy też niepłonną nadzieję, iż na tem polu jeszcze wiele zrobić może i przysporzyć teatrom dobrych śpiewaczek. Pan Schaeling, młody jeszcze pianista i to musimy chyba na jego obronę powiedzieć, gdyż gra jego bardzo słaba; gra wszystko bez czucia, bez zrozumienia, a w tempie pociągn błyskawicznego. Wykonanie utworów Chopina niech mu Bóg wybaczy.

Maurycy Sieber.

Z TEATRU.

Chcąc sprostać zadaniu tej naszej rubryki, która wiernym obrazem ruchu miejscowego teatru być winna, znowu dość obfitą musimy dziś poruszyć i rozpatrzeć wiązankę nowości.

Trzymamy się kolei chronologicznej.

Dnia 27 października graną była po raz pierwszy t. z. „komedja" pp. Duru i Chivot p. t. *Fortel Artura*.

Chcąc określić i znaczenie tej sztuki i zarazem fakturę z jakiej się trzymano przy jej tworzeniu, pierwszym wyrazem mniej więcej trafnym nastręczającym się mimowolnie, jest *karykatura*. Karykatura — przyznajemy — zręczna, dowcipna, pocieszna, pełna humoru, ale zawsze karykatura tylko, a więc za jej dyrektywą i pomocą wyłączną *komedji* w poważniejszem cokolwiek znaczeniu tego wyrazu utworzyć nie można, bo ona rodz jedynie farsy.

Farsą tedy jest *Fortel Artura*, i to uciekającą się do tak przestarzałych i zdyskretowanych środków komicznych, jakiemi są Scribowskie *deguisements*. Przebiera się tam bowiem dyplomata za lokaja, aby tem ostudzić miłosne zapały zakochanej w nim baronowej-kokotki, mogące mu przeszkodzić w zamiarach matrymonjalnych. Przebiera się nawzajem lokaj za pana, aby cel przebrania pańskiego tem skuteczniej osiągnąć. A na tle tego przebrania i wynikających zeń bądź pociesznych, bądź dramatycznych kolizyj, naszkicowali autorowie naprędce sylwetki: nieuniknionego dziś w komedjach francuskich rossjanina, śmiesznego mieszczanina dorobkowicza, jego głupkowatej córeczki itd. Wszystko to się składa na całość zabawną i śmieszną tak, że widz śmieje się do rozpuku, a więc bawi się dobrze.

Farsa graną była bardzo dobrze, raźnie, żywo, prawdziwie po francusku. P. Arwin przewybornie odtworzył nieprawdopodobną lecz pocieszną postać owego dyplomata, przebierającego się za lokaja i uwybitniał sumiennie wszystkie tej roli komiczne sytuacje. I dopomagał dzielnie p. Arwinowi i współzawodniczył z nim gorliwie p. Frenkel, jako starego kroju *Frontin*, sprytny lokaj totumfacki. Śmiano się też dużo z przewybornej karykatury garbarza-dorobkowicza, stworzonej przez p. Siemaszkę, unoszono się nad wdziękiem postaci jego ślicznej gąseczki... przepraszamy! — córeczki, panny Koźmin, wyglądającej świetnie w stroju ślubnym, oddawano sprawiedliwość grze panny Sułkowskiej, jako ogniście rozromansowanej i drastycznie powabnej baronowej Hermozy itd.

Następna sobota (3 listopada) dała nam aż trzy nowości i to wszystkie oryginalne.

Pierwsza z nich „Fraszka sceniczna" p. Kościelskiego, *Prelegent* jest bezpretensjonalną, lecz dość udatną i przyjemną krotochwilą, w której autor w kilku komicznych scenach narysował rodzajowy obrazek, gdzie działającemi osobami są: stary smakosz, jego córeczka naiwna i kochliwa pensjonarka i przedmiot jej westchnień, p. Jan Murecki, młody profesor i prelegent, zjawiający się w domu na listowne wezwanie panienki i dziwną omyłką przyjmowany długo przez ojca za oczekiwanego kucharza. Rzecz zresztą napisana dobrym językiem, dość zręcznie, ze znajomością wymagań sceny i zdradzająca w autorze pewien talent obserwacyjny, zwłaszcza w trafnem odcieniowaniu sympatycznej panienki-podlotka, którą też odtworzyła panna Kałużyńska bardzo serdecznie, naturalnie i wdzięcznie. — P. Frenkel był doskonałym panem Onufrym, umiał bowiem tak bardzo już ograną i banalną postać smakosza przedstawić w nowem komicznem świetle. Podrzędną rolę „prelegenta" grał poprawnie p. Sobiesław.

Drugą nowością tego wieczora była sztuczka p. Jordana *Przy kolei*. Autor nazwał ją *komedją*, jak sądzimy, bez namysłu, lub dla zwyczaju tylko, bo jest to także krotochwila czy fraszka - nic więcej. Jako taka jednak, jest ona napisaną z niemałą komiczną werwą i zacięciem. Głównem zadaniem i celem sztuczki jest odwzorowanie śmiesznych stron człowieka, (szlachcic wioskowy Pomykalski), który korzystając z „wygody" kolei żelaznej, przechodzącej przez jego wioskę, stał się manjakiem ciągłego jeżdżenia, zapominającym za podróżami o całym świecie, o własnym domu i dzieciach. Karykaturalny ten „typ" autor nakreślił bardzo pociesznie, a grał go p. Werner przyzwoicie. Drugą wybitniejszą postacią w komedji jest p. Florenty, młodzieniec stanowiący anachronizm w naszych czasach, bo tak poetycznie rozfilozofowany, (czy też filozoficznie rozpoetyzowany, że nie mówi inaczej o najpotoczniejszych rzeczach, jak niezmiernie wysokim, rozbujałym stylem. Bardzo dobrze go grał p. Solski, umiejąc być komicznym bez wpadnięcia w zbyt łatwą w podobnych razach przesadę. Dwie role kobiece — matki i córki grały panny Guerard i Knapczyńska, pierwsza dość niezgrabnie, druga za sztywnie i martwo.

Trzecią nowością był *„Bal"* p. Bełcikowskiego. Wysoce ceniony autor poważnych rozpraw literackich i utalentowany dramaturg chciał napisać farsę na tle stosunków miejscowych, ale próba ta mu się nie udała. Rzecz słaba, grana też była słabo.

Mamy nareszcie zdać sprawę z przedstawionej 10 listopada komedji Pawła Moreau *Sprzymierzeńcy* (*Nos aliées*).

Bez przesady powiedzieć można, że śród powodzi komedyj francuskich spółczesnych, odznaczających się prawie zawsze taką treścią i takiemi szczegółami, od których piękne lica naszych młodych panien pięknym także, lecz dla nich nie bardzo miłym oblewają się rumieńcem, że śród powodzi takich sztuk, komedja *Sprzymierzeńcy* jest perłą czystości, niepozbawioną jednak właściwych pisarzom francuskim zalet, t. j. werwy i dowcipu, i to dowcipu salonowego od początku do końca obfitą tryskającego kaskadą.

Treść i intryga komedji zasadza się na salonowej walce pani Henryki Dolcy, opiekującej się poczciwym, walecznym lecz dzikim i niezgrabnym kapitanem Żuawów, Gastonem de Roch, z Ernestem de Maur, dowcipnym salonowcem, któremu w ubieganiu się o rękę powabnej i bogatej panny Klary kapitan i jego protektorka brużdżą, a który nawzajem szuka sobie sprzymierzeńca w romansowej ciotce obdarzającej go zamiast protekcji swem zbyt już przywiędłem sercem. Na tem tle narzucał autor obfitą dłonią mnóstwo scen komicznych, ozłoconych dowcipem w sytuacjach i dyalogach, ujął to w ramy niezmiernie biegłej i gładkiej pod względem technicznym faktury i stworzył całość artystyczną, ktorą jako komedję nie wahamy się zaliczyć do lepszych utworów scenicznych jakie się w ostatnich czasach pojawiły.

W komedji tej miał szerokie do popisu pole p. Sobiesław, grał on rolę Ernesta, wymagającą wielkiej rutyny i elegancji salonowej w sposób tak naturalny i swobodny, wolny od wszelkiego cienia przymusu, że podobną interpretacją tej roli niejedna scena słusznie chlubićby się mogła.

Przeciwniczką Ernesta, Henryką Dolcy była pani Hofmanowa. Niezaprzeczony talent i wieloletnia wprawa tej artystki stanowią już rękojmię, że podobne role w jej interpretacji wypadają zawsze poprawnie i pięknie.

Rolę kapitana Gastona grał dobrze, choć może trochę za szorstko p. Rieger. P. Siemaszko stworzył niezły typ salonowego plotkarza Badinois. Pani Wojnowska była bardzo na swojem miejscu jako romansowa babula, ciocia Alfonsyna. Rola Klary, grana przez pannę Pysznik, jak równie parę innych ról podrzędnych, wypadły poprawnie, dostrajając się dobrze do całości, która nie pozostawiała nic do życzenia. *A. Z.*

Echa muzyczne z Wiednia.

Noc w Wenecji — taki tytuł nosi najnowsza operetka w 3 aktach ze słowami F. Zella i Ryszarda Genée'go i muzyką Jana Strausa. Utwór ten wesołej muzy króla walców wystawiono najpierw w Berlinie w dniu 4 października a w dni kilka, to jest już 9 października b. r. odegrany został w Wiedniu w teatrze „K. k. pr. Theater an der Wien. Operetka ta nie doznała w Berlinie na „premierze" szczególnego przyjęcia, a jak niektóre berlińskie dzienniki oceniały otrzymała nawet nie succes d'estime lecz więcej succès de costume... za to w Wiedniu grają ją dzień w dzień już przeszło miesiąc, a na kilka pierwszych przedstawień biletów wcale dostać nie było można. Wiedeńczycy przepadają za tą operetką, biją ciągle brawa, a dzienniki wiedeńskie podnoszą wartość muzyki; sądzimy więc, iż i naszą publiczność zaciekawi wyjaśnienie, jaka jest wartość właściwa tej operetki tak wiedeńczyków entuzjazmującej. Przedewszystkiem nęci oko widza prześliczna wystawa sztuki, efekta dekoracyjne wspaniałe. Przed okiem widza roztacza się starożytna Wenecja z jej pałacami; widzimy tu „most westchnień", fantastyczne gondole, weneckie lustra itp. Nie potrzebuję dodawać, iż kostiumy są nader gustowne i eleganckie, lecz przedewszystkiem powiedziałbym, że wyborna gra artystów i śpiewaków i — imię tak lubianego w Wiedniu kompozytora i dyrygenta są tym magnesem przyciągającym liczne tłumy słuchaczów do teatru „an der Wien." Libretto dało powód do sporu literackiego pomiędzy librecistami Zellem i Genée'm a prassą francuską o plagiat. Nie naszą rzeczą sądzić o słuszności, atoli o tyle biorę w obronę autorów libretta, iż na afiszach teatralnych wyraźnie wypisali: „mit freier Benützuug einer französischen Grundidee)".

Treść sztuki jest następująca:

Rzecz dzieje się w Wenecji przy końcu XVII. wieku, a więc jeszcze za czasów rzeczypospolitej. Zgromadzony lud nad brzegiem Canale Grande oczekuje zapowiedzianego gościa księcia Gwido z Urbino wielkiego wielbiciela płci pięknej. Poważni mężowie miasta boją się o swe żony, a szczególniej w strachu senator Delaqua, który niedowierzając swej żonie Barbarze, każe ją przewieść łódką do poblizkiego klasztoru. Czuła małżonka przystaje niby na mądry plan męża, daje sobie atoli rondez-vous z kuzynkiem Henrykiem, a zamiast siebie posyła przebraną rybaczkę Aninę do klasztoru, którą znów czychający książę sądząc, że to piękna Barbara, do swego pałacu uprowadza. Chór pełen werwy i życia kończy akt pierwszy,

W akcie drugim jesteśmy już w pałacu kochliwego księcia podczas karnawału weneckiego. Świetny bal maskowy, na który książe zaprosił licznych gości przedstawia się oczom widza. Senator Delaqua przedstawia ks. Urbino przebraną kucharkę jako niby swą żonę, z czego tenże myśląc, iż właśnie żonę jego u siebie ukrywa, serdecznie się śmieje. Dopiero w akcie trzecim wszystko się rozwiązuje, a książe przekonywa się niestety, iż śliczna Barbara nietylko męża ale, jego mistyfikowała; ostatecznie wszystko wesoło się kończy. Efektowną nadzwyczaj jest scena w akcie III. taniec gołębi św. Marka upostaciowanych przez 12 hożych balleryn, ubranych w piórka i skrzydełka srebrne, całujących się i frugających rozkosznie po scenie.

Teraz przejdźmy do najważniejszej części: do muzyki. Muzyka tej operetki posiada zalety i wady każdego z dawniejszych utworów scenicznych Strausa. Zalety: wyrazista rytmika, śliczne walce i polki, znakomita instrumentacja i koloryt niezrównany. Słabe strony są: braki pod względem pomysłowości, gdyż ładny walczyk albo zgrabna polka nie wystarczają na zapełnienie trzyaktowej operetki, w której jeszcze znajdujemy romiscencje z dawnych operetek tego autora. Już to Strauss i inni niemieccy kompozytorowie, a nawet francuzcy tacy jak Lecocq i Planquett nie mogą dorównać twórcy operetki: *Offenbachowi*. Nie posiadają tego czaru, jaki mistrz kankana i twórca pięknej Heleny umiał wlać w swoje dzieła.

Teraz przejdźmy do szczegółów tej „Nocy weneckiej". Akt pierwszy posiada kilka dystyngowanych numerów, które łączą pewien urok melodji i gracji; wymienić to musimy: miły duecik z refrain „Pelegnina Rondinella" kwartet (walczyk) „Alle masskirt" melodja bardzo zwyczajna ale mająca pewien wyższy polot, serenada przed balkonem i kwartet. Zakończenie aktu tworzy gondoliera, która łączy się z walcem przez chór śpiewanym i tworzy dobre ensemble kończące się pianissimo. W akcie drugim wyróżnić należy introdukcję, kuplet sopranowy „Ja so ängstlich sind wir nicht", zresztą same walce. Akt ten kończy się szumnym marszem.

W akcie III. przychodzi walczyk znakomicie przez Girardiego odśpiewany, kuplet kucharski (rochcouplet) wykonany pysznie przez Schweighofera i chór gołębi z akkompaniamentem cytry. Pod względem właściwym muzycznym są to rzeczy słabsze.

Perłą całej operetki jest walc *„Na lagunach"*. W Wiedniu dorobiono lepszy tekst niż był w Berlinie. Walc ten napisany w F-dur, część jego środkowa w B-dur najpiękniejszą, a *ritardando* w pierwszym takcie każdej zwrotki robi ładny efekt. Wykonanie tej operetki było w Wiedniu wzorowe. Artyści grali con amore. Panny Finaly (Anina) i Streitmann (Ciboletta) śpiewały pięknie i grały z humorem. Pp. Schweighöfer (Pappacoda), Girardi (Caramello), Joseffy (książe), Guttmann (Delaqua) zasługują rzeczywiście na pochwały i oklaski, jakiemi ich wiedeńczycy darzą. Na pierwszem wykonaniu „Nocy weneckiej" dyrygował sam kompozytor Jan Strauss; obsypano go oklaskami, wręczono wspaniały wieniec, a walc „Na laganach" musiał być trzy razy powtórzony. (d. n.)

Maurycy Sieber.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— P. *Lipiner*, tłumacz „Pana Tadeusza" ma tłumaczyć „Szandora Kowacza" lub „Ofiary" T. T. Jeża dla biblioteki salonowej Prochaski w Cieszynie.

— *W. Hugo* wydał świeżo w Paryżu nowy utwór p. t. „L'Archipel de la Manche.

— Dr. *Antoni Bronikowski* przełożył na język polski „Theatosa" Platona.

— P. *Teodor Paprocki* wydał w popularnej formie życiorysy Mikołaja Reja i Szymona Szymonowicza.

— *Józef Kościelski*, autor „Prelegenta" przedstawionego na tutejszej scenie, miał złożyć teatrom warszawskim dramat p. t. „Dwie miłości".

— Dr. *Jan Stella Sawicki* wydał we Lwowie kalendarz lekarski na rok 1884.

— *Hajota* (panna Helena Boguska) napisała komedję trzechaktową p. t. „U swoich" osnutą na tle stosunków kąpielowych galicyjskich.

— P. *Ferdynand Kudelka* wydał nakładem Akademji Umiejętności rozprawkę z dziejów strategiki polskiej p. t. „Bitwa pod Lubieszowem" (r. 1577). Tego samego autora pracę p. t. „Bitwa pod Kirchholmem drukowało w zeszycie wrześniowym „Ateneum" warszawskie. Rozprawki te odznaczają głęboką znajomością strategiki i taktyki i wyjaśniają w sposób umiejętny wiele kwestyj historycznych.

— Satyry *Opalińskiego* opuściły już prassę. Cena 80 ct.

— W „taniem wydawnictwie K. Bartoszewicza" pomieszczone zostaną dzieła *J. U. Niemcewicza.*

— Wyszły dwa pierwsze tomy powieści *Sienkiewicza*: „Ogniem i mieczem."

— Księgarnia K. Bartoszewicza ogłasza prenumeratę na „Perły homoru polskiego."

Z dziedziny malarstwa, muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

— *Lenartowicz* zamieniwszy pióro na dłuto rzeźbi obecnie grupę p. t „Parnas polski." Mickiewicz, Brodziński, Zaleski, Pol, Słowacki, Krasiński. Goszczyński mają tam być na pierwszym planie ugrupowani.

— *W Amsterdamie* zapoznało Holendrów z utworami *Moniuszki*, *Żeleńskiego* i innych autorów polskich Towarzystwo „Felix maritis", które na ten cel jeden z koncertów jesiennych przeznaczyło.

— W „Revue des deux mondes" pojawiły się wspomnienie o *Chopinie p. Henryka de la Bury*, interesujące ustępami o pierwszych występach Chopina w Paryżu i podróżą z p. Georgeo Sand na Majorkę.

— Dr. *Schliemann* wydał dzieło p. t. „Troja" opatrzone planami i illustracjami odnoszącemi się do poszukiwań tego znakomitego uczonego na miejscu dawnego Ilium. Dzieło to wspaniałe pod względem typograficznym kosztuje 38 marek (23 złr.).

Do tego Nru dodają się: rysunek z „Wystawy starożytności," „Notata z albumu" [rysunek A. Piotrowskiego i „Gracze" rysunek S. Kiernickiego.



URYWEK z ALBUMU.

Rysunek A. Piotrowskiego.



GRACZE.

Rysunek S. Kiernickiego.